# HARCERZ

Warszawa, Maj—Czerwiec 1917 roku. № 3. Cena 80 fen. w Warszawie i na prowincji.

*„Jeśli w Waszym kraju jest dużo podobnych do Ciebie chłopców, to nieprędko dadzą sobie z wami radę”.*

*„W PUSTYNI I W PUSZCZY”.*

## WIOSNA.

Wiosna w całej zakwitła pełni, bierz więc druhu harcerzu—nosem górne powietrze i czuj nowe życie natury całej. Wszystko, co żywe, zrzuciło z siebie długi, szorski włos zimowy i nową się szatą piękną i miękką, szatą godową przyoblekając. Słońce poufnie zbliżyło się do ziemi i zalewa ją pieśnią światła, przepychem złota i srebra, barw i tonów, w pieściwej aureoli zapachów wiosny gwarząc jej o nowem latku.

Zatajoną — zaiste — skarbnicą ducha, jest ta wskrzeszona z ciemnicy grobu i zimy w blask słońca ziemia karmicielka, ziemia rolnika i żołnierza, ziemia uczonego, malarza, poety. To też w wiosenne zórz świtanie, gdy się dźwiga leniwie dzień z mroków i mgieł, pierwsi t. j. rolnicy

„,co krok wstrzymują woły i podjezdki w bronie
„,i spoglądają z trwogą ku zachodniej stronie,
„,jakby z tej strony miał się objawić cud jaki
„,i uważają z trwogą wracające ptaki...” —

Drudzy—jak to miało miejsce niegdyś i niedawno—w szkaplerze święte zaszywają szczypty ziemi rodzinnej, aby wojna którą zwykły bieg życia przynosi, nawet w obcej krainie pozwoliła im ledz na własnej ukochanej ziemi (pożegnanie szwoleżerów z Warszawą); naukowcy nie dla suchego tylko notowania zjawisk przyrodzonych chwytają za zielniki, siatki na motyle, słoiki, ale i dla innych jeszcze powodów, o które ich nikt zresztą nie chce nigdy posądzić. Poeta jednak za nich wszystkich, za siebie i wiosnę robi obrachunek biegu życia i — wyciągnąwszy ręce do tego lepszego świata uniesień ducha polskiego, mówi:

„,O wiosno! kto Cię widział, jak byłaś kwitnąca
„,zbożami i trawami, a ludźmi błyszcząca,
„,obfita we zdarzenia, nadzieją brzemienna!
„,Ja ciebie dotąd widzę—piękna maro senna”.

Człowiek sygnaturką skowronka zastaje nagle powołany do świadczenia, że świętą jest ofiara dnia i życia, — że nastają wielkie w promieniach słońca gody istnienia. Szczegóły zmian klimatycznych zlewają się w rozbudzonej wyobraźni—w osłabionym fizycznie, lecz rozbudzonym nerwowo i zmysłowo organizmie w jedno wrażenie cudotwórczego po długiej apatji zimy nabożeństwa przyrody, przy którem ołtarzem jest świat, a ofiarą—piękno istnienia.

W rozmodlonym i oniemiałym przed ofiarowaniem kościele (tak często w nim się modlił wielki przyrody wielbiciel, Św. Franciszek z Asyżu) pomimo gęstej szarości osmętnego świtu, dygocząca od wrażenia dusza ludzka—z kącika wypatruje wszystkie szczegóły — a czego nie dopatrzy, to wyczuje, wyśni i wymodli dla siebie, dla swej tęsknoty, dla swego płakania.

Stąd pochodzą wiosny wielkie, wiosny narodów, Maje konstytucyi — wiosny Ducha, bo złotowłosa i srebrno-pucha pieśniarka szepce zszerszeniałemu niewolnikowi mocno: „,wstań i idź! — w słońce!”

Rozbudzoną przez wiosnę krew tętniczą zmarnować łatwo. Wystarczy dać się opanować zmysłom i chwilowemu wiosennemu osłabieniu. Wystarczy sfolgować sobie — i zostać niewolnikiem własnym. Precz z taką niewolą, junaki młody! Nie warto życia rozmieniać na drobne upadki i uciechy przelotne, nie warto się przeczulać we własnej analizie zmysłowej, aby potem cierpieć i odpadać—Macte anima!—Wiosna Cię powołała do czynu, do pracy i życia lepszego, zdecydowanego w wyrazie i celu. Nie wolno zbudzonej energji życia i ruchu zmarnować na rzeczy małe i płaskie. Czyń konstytucje ducha w Twojem kółku—to „,co każe Duch boży — a całość sama się złoży”. Czy pomyślałeś, jak wyzyskać piękno natury w gawędach harcerskich?..

Miłość przyrody ojczystej, jako czynnik wychowawczy, musi być w naszej dziatwie i młodzieży rozbudzany i rozwijany trwale a systematycznie w taki sam sposób, jak miłość rodziny i społeczeństwa, za pomocą celowych zabiegów metodycznych, zwłaszcza na naszych kolonjach.

Należy nam szczepić miłość przyrody szczerą, bezinteresowną, dla niej samej tylko, jak miłość dla matki. Należy dziecko uczyć kochać, czcić i szanować przyrodę przez zrozumienie przez nie tego, że samo ono jest cząstką składową tej przyrody, atomem w harmonji piękna, ogniwem w kolisku duchowem z tej przyrody poczętem. Należy tę miłość oprzeć na pewnej stałej podstawie pojmowania stosunku przyrody do człowieka, przyczem egoizm przyjemności władczej, wsteczne chuci panowania i przewartośc owywanie praw człowieka do przyrody uważać należy za kierunki i środki pedagogicznie szkodliwie.

Jedziecie na wieś, kolonje wakacyjne, więc nie zapomijcie, że nie należy nigdy czynić z łowiectwa owadów, ryb, pająków p ocederu rzekomo rycerskiego, nie należy w polskiem dziecku rozbudzać namiętności zdobywcy i żyłki tropicielskiej do mordu, pościgu, albowiem w naszem polowaniu przyrodniczem tak potrzebną jest dobra siatka czy wędka, jak i dobre serce człowiecze. Tłumaczcie młodszym, że nie są oni w przyrodzie królewiczami z bajki, dla których przyjemności tylko pachną kwiaty, fruwają owady i śpiewają ptaki, nie są wybranymi do roskoszy użytkowania tworów boskich, a spółbiesiadnikami piękna i bogactwa przyrody, obowiązanymi do pielęgnowania w sobie twórczości przyjaźni i spółobywatelstwa uczciwego. Nie powołujmy nigdy naszego wychowanka do czynienia porządku w krajobrazie życia, środowisku czy zbiorowisku przez protegowanie jednych, potępianie drugich, gdyż pojęcie cnoty powołującego jest często bardzo względnie i z prawdą przyrody niewiele ma wspólnego. Potrzeba duchowa wolności i swobody wypływać winna ze zrozumienia i ujęcia, czem jest wogóle wolność w przyrodzie. Nic tak nie demoralizuje człowieka, jak nadużywanie siły, możność zużytkowania przemocy, siła przed prawem, posiadanie władzy więziennej w stosunku do słabszych. Od jej nadużyć właśnie najmłodzi szczerzy miłośnicy przyrody polskiej powinni bronić swoich spółtowarzyszów wiosny życia z państwa roślin i zwierząt.

Do harcerzy moich odtąd należeć powinno karmienie naszych ptaków zimujących, urządzanie gniazd ciepłych i zimowisk bezpiecznych dla delikatniejszych i słabszych gatunków, chociażby na gzymsach domów, za oknami w postaci wyściełanych koszyczków, czy pudełek, opieka nad miejscami wieców i rejów ptasich, nad drzewami kwitnącemi, na przeciwdziałaniu wszelkiej działalności niszczycielskiej w przyrodzie.

Niektóre gatunki ptaków (dzwońce, czyżyki) znoszą niewolę pokojową wobec grozy zimy chętnie, nawet z żalem się z nią na wiosnę rozstając. Są to bodaj jedyne wolne ptaki, które tyją w niewoli. Zamykanie ich w mieszkaniu z dzieckiem nie jest dla nich żadną krzywdą, ale niech dziecko, szlachetniejąc przez serdeczne spółżycie z ptakiem, samo uczy się uszlachetniać i ptaszę, ucząc je kochać wolność i wypuszczając w pierwszych dniach ciepłych wiosny na swobodę. Marzę—abyśmy w 3 Maja mogli urządzać święto wypuszczania ptasząt z klatek. Będzie to kiedyś nasze święto wiosny i dziatwy. Święto dzieci i kwiatów toż to najpiękniesza rzecz japońskiej kultury i ich stosunku do ziemi ojców. To samo wiemy o święcie Dziękczynienia w szkołach i rodzinach Stanów Zjednoczonych Amer. Półn. My w naszym ludzie mamy wiele pierwiastków do fundacyi takiego święta np. dzielenie się opłatkiem z krowami i końmi w noc wigilijną, przedstawianie im do żłobów pierworodnego syna — jako następcy gospodarza, udział dziatwy z gromnicami przy pierwszym siewie, obrzęd postrzyżyn i t. d. Dziecko wiejskie żyje ze zwierzętami domowemi często bliżej niż z ludźmi.

Przyroda dla dzieci bezrodnych lub opuszczonych w naszej ziemi nie jest czułostką, afektowaną ciocią, czy nianią Marjanną, mdlejącą na widok kropli krwi z palca wychowanka, a gotującą raki w zimnej wodzie na wolnym ogniu. Jest ona raczej mądrą, chytrą matką—wychowawczynią, że przypomnę Wam chociażby tylko „Kukułczę" i „Beldonka" Dygasińskiego, Witka z „Chłopów" Reymonta, dzieci w nowelkach zacnego Dziadzi—Prusa, który jest naszem sumieniem narodowem, w serdecznej gawędzie zamkniętem.

Jak chcecie tylko znaleźć temat do gawędy „z Ducha" i dobrą jej obróbkę—bierzcie się do dzieł Prusa, lecz za to pójdźcie kiedy z drużyną na Powązki i połóżcie wieniec jałowcowy na grobie tego wielkiego polaka. Opowiadajcie „biszkoptom" o nim ciepło, serdecznie—jak on dziatwę serdecznie kochał, jak o niej pisał. Po drodze odwiedźcie tam Adolfa Dygasińskiego, którego wierny pies strzeże — i Promyka—przy którym chłop polski stoi na warcie — i Jachowicza zacnego bajkopisa. Gdy Powązkowskie akacje różowym śniegiem zakwitną i zapachną jak boskie trybularze kadzidła, dobrze Wam tam będzie i zdrowo z cieniami Waszych najlepszych przyjaciół. To będzie też „święto dziatwy"—w dalszym ciągu.

Musimy utworzyć i rozbudzić w nas uczciwą miłość przyrody i jej prawych synów, jako czynnik wychowawczy narodu, bezdomnego i bezrodnego często na własnej ojców ziemi. Może takie „święto" skupi nas wszystkich w jednem miłowaniu bezpartyjnem, może da nam ukojenie i zorzane szczęście wiosny?

Baczność! Słyszycie?..

„Tam do polskiej białej chaty
„puka jakaś cud-dziewucha,
„z rąk sypiące senne kwiaty....
„złotowłosa, srebrnopucha
„w wieńcu złotych zórz —
„Puka cicho—w szybki dzwoni...
„służka niebios, cud wiosenka —
„kwiat przetwiera do niej wonie,
„blaskiem wita Boża męka
„chaty białej stróż...."

Witajcie Ją sercem i duchem mocnym, umiejcie tęsknić do jasnego na niebie zorzanka, do mądrego sił nowych, majowych świtania — do zmartwychwstania w mocy i zdrowiu.

*Konrad.*

□□□□□□□□

# MYŚLI O PRAWIE.

Harcerz służy Ojczyźnie.

Spójrz wokół siebie. Gdziekolwiek jesteś, czy wśród pola, lasu, czy wobec dworów i chat, czy królów Twoich dawnych siedzib, czy wobec pamiątek dawnych dziejów, czy pośród ruchu ulicy, czy wobec pracy w warsztacie i fabryce—patrz! Wniknij w to, co one Ci mówią — dosłysz serca Twego bicie, że przecież Ty Ojczyznę swą kochasz.

Mądry jest ten gospodarz, co nie zna dobra, swego. Ty posiadasz i kochasz Ojczyznę a miałbyś jej nie znać?

Harcerz ma zawsze na wszystko otwarte oczy i każdym zmysłem stara się objąć wszystko, co go otacza. Ty wokół siebie masz Polskę. Na każdym kroku poznajesz Ojczyznę swoją. Będziesz się starał rozumieć Ojczyznę, jaknajwięcej wiedzieć o Ziemi Polskiej, na której Ty żyjesz i która Cię karmi, o dziejach Twego narodu, które Ciebie wydały, o kulturze jego, o mowie, którą Ty mówisz, wreszcie o Państwie i o tym, jak Twoja Polska dziś żyje i walczy.

Ale niedość jest kochać i poznawać. Wiesz, że każdy pracuje. I ty także pracujesz. Pracujesz dla siebie, a praca Twoja jest dla Ojczyzny, boś Ty przecież Jej cząstką. Przypomnij sobie, że masz dużo obowiązków, spełniając je dobrze, służysz Ojczyźnie. Teraz głównie przygotowujesz się, uczysz się, żeby później być bardzo pożytecznym. Twoim pierwszym zadaniem jest dziś przygotować się. Ale masz i wiele innych obowiązków. O jednym z nich mówi Ci prawo trzecie. Jeszcze jeden z tych najpierwszych obowiązków wskaże Ci, że masz zawsze przestrzegać publicznego porządku. Nie chcę Ci wszystkich obowiązków wyliczać, bo chciałem tylko przypomnieć Ci, że Ty Ojczyznę kochasz, poznajesz i Jej służysz.

*Edward Muszalski.*

□□□□□□□□

# Porządek publiczny.

Wychodzę z domu na spacer. Spostrzegam w bramie dwie panie żywo rozprawiające. Zapewne myślą, że brama jest miejscem do rozmowy, a nie na to, żeby przejść. Kiedy im to powiedziałem, odsunęły się z niezadowoleniem. Na rogu ulicy, gdzie największy ruch, dwaj panowie rozmawiają o polityce i dwaj młodzi obywatele grają na chodniku w t. zw. „kukso". Powiadam im, że chcę przejść a skoro oni stoją, to nie mogę tego uczynić—spoglądają na mnie zdziwieni i niezadowoleni, ale odsuwają się i przynajmniej mogę pójść dalej. Idę więc dalej i właśnie jakiś kolarz jedzie sobie rowerem po chodniku, bo zapewne myśli, że chodnik jest dla jego roweru. Powiadam mu to, a i on znów niezadowolony, że ma zejść na jezdnię. Idę dalej po prawej stronie chodnika, tak jak chodzi każdy porządny człowiek, i każdy harcerz oczywiście, co chwila jestem trącany przez kogoś, komu się podoba chodzić po lewej stronie, komu się podoba wciąż wpadać na przechodniów. Chcę wsiąść do tramwaju, ale niestety, wszyscy oczekujący na przystanku pchają się do wnętrza, zanim inni wysiedli. Otóż więc czekam kilka minut, aż wreszcie konduktor wytłumaczył obu stronom, że jednocześnie wysiadać i wsiadać do wagonu nie można. A znów w tramwaju widzę czterech chłopców rozmawiających, ale do tego stopnia są ożywieni rozmową, że każdy chce mówić, że wszyscy mówią razem. Nie wiem, czy można i mówić i słuchać jednocześnie trzech mówiących. Pewien pan w mundurze, siedzący przedemną, wyjmuje cygaro i ma ochotę zapalić je, więc zwracam mu uwagę na tabliczkę: „Nie palić!" Bardzo był niezadowolony— z tego, że w tramwaju nie można palić cygara! Bez szczególnych przygód docieram do Łazienek Królewskich. Usiadłem na ławce, patrząc na ślicznie rozkwitły krzak bzu. Właśnie zbliża się doń młoda panienka i rwie kilka najładniejszych gałązek. Zwracam jej uwagę, że przecież jest to dobro wszystkich, dobro publiczne, które nie tylko do niej należy, a tak postępując ogałaca się park śliczny. Odrzecze mi, że to mnie nic nie powinno odchodzić. Staram się bardzo grzecznie wytłumaczyć, że to jest własność publiczna, a więc i moja, że bardzo mi leży na sercu, aby w Łazienkach nie były tylko kamienie, zdeptana trawa i obdarte drzewa, że trzeba przeciwdziałać czynom, które coś niecoś wspólnego mają z kradzieżą Bardzo niezadowolna i z wielce nadąsaną miną odeszła.

Ilu to ja spotkałem dziś niezadowolonych! Każdemu się coś nie podobało! O ile się nie mylę, każdy sprawiał komuś przykrość, a dla wszystkich zamęt i nieporządek. Ci niezadowoleni postępowali samowolnie, sprawiali nieporządek publiczny. Myślę, że harcerz inaczej postępuje, bo wie, co to jest porządek publiczny. Ludzie, żeby mogli żyć razem, musieli pomiędzy sobą ułożyć jakiś porządek, przecież byłoby to źle,

gdyby każdy robił według swego „widzi mi się", nie zwracając uwagi na nikogo. Tyczy się to nietylko bardzo ważnych, głównych rzeczy, ale i bardzo prostych szczegółów życia, ale i drobnostek. Harcerz nie tylko stosuje się do porządku publicznego, ale i zachowuje go wszędzie, zwracając bliźnim uwagę. A które to prawo harcerskie mówi o tym?

*Edward Muszalski.*

# UNIWERSAŁ.

Literatura czasów stanisławowskich nawiązuje węzły z Zachodem, musi naraz wchłaniać w siebie to, co wytworzyły tam umysły przez wiek XVII i XVIII.

Rzeczpospolita w porównaniu do współczesnych państw końca XVIII jest pod względem społecznym i politycznym najzupełniej odmienna. Tam gruntuje się absolutyzm, oparty na sile militarnej, tu wolność jednej warstwy szlacheckiej doprowadza państwo do upadku.

Ale przez Konstytucję 3 maja Polska wstąpiła na drogę reform. Nie mogła odrazu przetworzyć się, dostosować się do warunków, jakie były na zewnątrz jej, ale zadokumentowała, którędy będzie kroczyła.

Uchwalenie konstytucji, wywołuje niekłamaną naogół radość w stolicach i na prowincji. Z Korony i Litwy, z województw i powiatów płyną do króla i marszałków sejmowych listy od obywatelstwa z wyrazami wdzięczności. W prasie ówczesnej polskiej opisują uroczystości, odbywane po całym kraju z powodu uchwały majowej. Nawet prasa zagraniczna daje rzeczowe o konstytucji artykuły. Przyjazne zapewnienia nadchodzą z dworów pruskiego, austryjackiego i drezdeńskiego. Papież przesyła list papieski na ręce nuncjusza. Ale elektor saski ociąga się z objęciem tronu, czeka przyzwolenia Rosji.

Tymczasem gaśnie gwiazda, która przyświecała w chwili, gdy zbierał się Sejm czteroletni.

Wojna Rosji i Austrji z Turcją przyjmowała obroty niemiłe dla nas. Rosja wychodziła zwycięsko, Prusy zrazu odosobnione i szukające w Polsce sprzymierzeńca, teraz gotowe były do innego rozwiązania kwestji polskiej.

Nadchodził groźny rok 1792. Ale sejm nie opuszczał rąk. Od czasu uchwalenia konstytucji wszystkie uchwały dążyły do jej ugruntowania przez reformy nowe i przez wpajanie w masy konieczności zmian. Tymczasem niezadowoleni (malkontenci), zwolennicy swobód jednej tylko warstwy szlacheckiej lub ludzie o braku patrjotyzmu, prowadzili konszachty z Rosją w Jassach i Petersburgu, torując drogę wojskom rosyjskim, mającym gwałtem zburzyć myśl naprawy Rzeczypospolitej.

Ale twórcy konstytucji pracowali sumiennie. Zebrane sejmiki powiatowe prawie wszystkie zaprzysięgły nową konstytucję. 19 maja 1792 roku zebrana u Kołłątaja narada postanowiła na sesji sejmowej odczytać doręczoną deklarację rosyjską... wojska obce wkraczały w granice Rzeczypospolitej.

20 maja, po przeczytaniu deklaracji, zabrał głos sam król i w ten sposób dał wyraz jej znaczeniu:

„Widzicie WPanowie, w tem piśmie znieważone nietylko dzieło wasze 3 maja, ale i czyny wasze, toż dzieło poprzedzające. Widzicie usiłowania do zniżenia powagi i istności sejmu teraźniejszego i całej independencji (niezawisłości) naszej przywrócenia....

„Widzicie więc nieodbitą potrzebę, abyśmy się przybrali, jak tylko możemy, we wszystkie sposoby obrony i ratowania ojczyzny..."

W tym też czasie sejm gorączkowo oddaje się pracy nad przygotowaniemi do odparcia wroga. Mimo uchwały, zmierzające do podniesienia wojska, rzecz była trudna. Dążono od zebrania odpowiednich funduszów drogą poboru generalnego i ze składek dobrowolnych przez zaprowadzenie „skarbonów patrjotycznych" po miastach i po wsiach, w świątyniach wszystkich wyznań i w miejscach zabaw publicznych. Składki dobrowolne miały iść „na powszechną obronę ojczyzny".

Ostatnie posiedzenie sejmu dn. 29 maja trwało do godz. 4 rano. Przygotowano odpowiedź na deklarację rosyjską, odezwę króla do wojska i uniwersał króla i stanów sejmujących do narodu.

Autorami uniwersału byli ks. Piramowicz i Kołłątaj.

Dajemy Wam, Harcerze, kilka z niego wyjątków. Przeczytajcie je uważnie i głęboko rozważcie. Zastanówcie się, do czego uniwersał wzywa, czy i Wy w przyszłości nie będziecie wezwani do obrony granic Ojczyzny i państwa, do zgody i do „jedności braterskiej", płynącej z „miłości ku wolności" u Polaka.

---

„Donosimy wam... że stan dzisiejszy Polski jest stanem obrony przeciwko wojsku moskiewskiemu. Będziecie walczyć za ołtarze, za prawa, za wolność, i majątki wasze; będziecie walczyć za rodzice, żony, dzieci i to wszystko, co tylko w sercu człowieka najdroższego być może.

„Jest wojsko, kosztem i gorliwością waszą dźwignione, w rynsztunki wojenne opatrzone, które was zasłoni piersiami swojemi; jest duch rycerski i męstwo w Polakach... Ale nadewszystko w stałości i jedności szukajcie zbawienia Rzeczypospolitej...

„Ci, których ślepota i zaciętość do tego stopnia przejęła, iż nie wzdrygnęli się podnieść ręki na własną Ojczyznę i obcego na nas sprowadzić żołnierza, będą przed wami czernić rząd, rzucać nieufność przeciwko królowi i sejmowi; będą was dzielić i rozdwajać... Tu się uzbrójcie stałością i cnotą...

Cnota wasza, miłość wolności, płynąca ze krwią polską, zapewnia, że jedność braterska złączy was

z sobą na obronę Ojczyzny, że jednym tchnąc duchem z królem i ojcem waszym, zgromadzicie się do boku jego i staniecie tu murem nieprzełamanym przeciwko zamachom nieprzyjacielskim...

„Idźcie za królem, za wodzem, za ojcem waszym; idźcie za tym, któregoście ze krwi waszej do berła wezwali, a który w sędziwym wieku życie swoje dla obrony wspólnej ojczyzny na wielkie niebezpieczeństwo razem z wami poniesie. Zagrzewajmy się wzajemnie słowy i przykłady; wystawmy się śmiało na wszystko za prawa i swobody nasze. Wszelkie trudy, wszelkie przeciwności stałością i odwagą pokonywajmy. Niech każdy wystawi sobie w myśli, że jaki dziś los spotka Rzeczpospolitę, taki on, taki dzieci jego i najdalsze pokolenie mieć będą.

„A Ty, Boże Zastępów! Boże ojców naszych! który widzisz niewinność i dobroć sprawy naszej; króry czystość zamysłów naszych przenikasz, wlej i utrzymuj ducha jedności i męstwa w narodzie polskim. Błogosław tej broni, która nie w celu ambicji, nie w celu wydarcia cudzego lub panowania nad drugimi idzie krew przelewać, ale jedynie dla obrony praw i swobód narodowych, których eś sam rozumnej i wolnej naturze ludzkiej udzielił; ale dla obrony tej Ojczyzny, którąś już tyle razy wszechmocną prawicą Twoją ratował i którąś teraz duchem rady i mądrości z ostatniego prawie upadku podźwignął. Twej łaski wzywa król i naród prawowierny, który Twą Wszechmocność i Opatrzność w pieniach wdzięczności wysławiać będzie."

*Józwa.*

# Zdobycze naukowe podróżników polskich.

Pod ciężkim obuchem obcej przemocy jęczała boleśnie nasza Ojczyzna przed stu z górą laty. Tem częściej oderwane uderzeniem młota ucisku od macierzystego ciała iskry genjuszu polskiego tryskały w dal i płonęły jasno nawet w oczach wszystkich narodów świata. Rozniosły one szeroko po świecie sławę polskiego imienia, świetnym jarząc się blaskiem, gdy tymczasem macierzyste, święte ciało Ojczyzny pod obuchem stuletniej niewoli zwolna stygło i zniekształcone zamierało, jak pod uderzeniem młota na kowadle czernieje, traci blaski swoje kuty metal.

A blask genjuszu polskiego podczas okresu naszej stuletniej niewoli, rozbłysnął we wszystkich częściach świata.

Do dziś dnia wśród ludów na Kamczatce, po brzegach Oceanu Spokojnego i na Madagaskarze, pomiędzy narodami Howany krążą legendy o hrabi Maurycym Auguście Beniowskim.

Słynny ten, niespokojnego zaiste ducha konfederat barski z bronią w ręku ujęty w maju 1769 roku najprzód do Kazania, a potem do wschodniej Syberji zesłany, już w rok później organizuje powstanie na Kamczatce i pod polską flagą puszcza się na niepewne Pacyfiku wody.

Tenże sam Ocean wielki i innych oglądał wielkich Polaków. Jan Stanisław Kubary urodził się w r. 1846. Jako siedemnastoletni chłopak zaciąga się w szeregi powstańców i walczy w wielu potyczkach przeciwko Moskalom. Ciężko ranny, zmuszony wycofać się z szeregów, po upadku powstania, ucieka do Niemiec. Jako zapalony przyrodnik i zbieracz dostaje się Kubary do domu handlowego Godeffray w Hambrugu, gdzie podejmuje się dostarczania materjału etnograficznego i przyrodniczego do słynnego podówczas muzeum tej firmy. W tym celu przedsiębierze podróż na Ocean Wielki i tu od 1869 w przeciągu lat pięciu studjuje, zbiera i kolekcjonuje wszelki materjał etnograficzny i przyrodniczy na wyspach Mikronezji, Marjańskich, Karolińskich, Marszałków.

Ruchliwa, energiczna nieco rubaszna natura naszego dzielnego i niezmordowanego badacza czuła się dobrze w obcowaniu z cudowną przyrodą tych bogatych, uroczych wysp. Osiada na stałe jako plantator na wyspach Karolińskich, wciąż zbierając, badając, kolekcjonując. W roku 1882 przedsiębierze wyprawę do Japonji, podówczas jeszcze mało znanej,

Tęsknotą do kraju przygnany, odwiedza w r. 1896 Lwów podczas wystawy; lecz ciasno mu było tu, bo przywykł do bezkresnych Pacyfiku obszarów, do zwrotnikowej przyrody tych wysp uroczych, poematów świata, które poznał, jak nikt w świecie.

To też wraca na ukochaną wysepkę Ponape i tu wśród szumiących palm kokosowych, wśród wonnego kwiecia tych szczęśliwych, beztroskich krain, umiera w rok później ten największy znawca Pacyfiku. A takiem było uznanie jego pracy w Niemczech, że ten daleki od sentymentu naród zbierał po jego śmierci składki na pomnik dla największego znawcy i badacza Oceanji — Polaka.

Błękitny ten ocean poznał jeszcze innego polaka. Słynny podróżnik polski, hrabia Edmund Starzeński (1796—1873) niejednokrotnie przebywał jego olbrzymie, bezkresne przestrzenie. Podczas swojego pobytu na wyspach Hawajskich, spotkałem ślady tego znakomitego podróżnika, o którym angielskie źródła pochlebnie się bardzo wyrażają; chłodny syn Albionu, jak wiadomo nie jest zbyt skory do gorących słów uznania — szczególniej dla potomka małoznaczącego polskiego narodu, nazywając go Wikingiem[1]) Pacyfiku.

[1]) Wikingowie — dzielni wodzowie bohaterskich Normanów ze Skandynawji — na małych stateczkach przed tysiącem lat pruli burzliwe fale Atlantyku i morza Północnego, zdobywając brzegi Normandji we Francji, wulkaniczną Islandję i założyli nawet kolonje w Ameryce Północnej na 5 wieków przed Kolumbem.

Strzelecki w roku 1839 bada mało wówczas znaną Australję, odkrywa bogate złoża złota w górach Błękitnych i największym wzniesieniem Alp Australlijskich nadaje nazwę naszego bohatera narodowego— Kościuszki.

Po drugiej stronie Oceanu Wielkiego imię polskie też głośnem rozbrzmiewało echem dzięki kilku olbrzymich zasług Polaków: sława naszego chemika-mineraloga i geologa Ignacego Domeyki w Chili, Folkierskiego Władysława i Jana Sztolcmana w Peru do dziś dnia nie wygasła.

Ignacy Domeyko urodził się w r. 1801 na Litwie w powiecie Nowogródzkim, co tylu sławnemi imionami polskiemi za polskich czasów rozbrzmiewał. W r. 1816 wstąpił na wydział fizyko-matematyczny na Wszechnicę Wileńską. Tu pod kierunkiem Jędrzeja Śniadeckiego rozbudziło się w nim zamiłowanie do chemji. Przystąpiwszy do Filomatów, a następnie do Filaretów, wygłasza przed swymi kolegami i słuchaczami szereg wykładów z geografji fizycznej. A niebylejakich miał słuchaczy: Mickiewicza, Zana, Czeczotta, Odyńca.

Brutalna moskiewska przemoc Nowosilcowa kładzie swą ciężką łapę na Promienistych. Domeyko, po ukończeniu w r. 1822 wydziału fizyko-matematycznego, jako słuchacz Lelewela i Gołuchowskiego, zmuszony jest opuścić Wilno i osiąść pod dozorem na wsi, zyskując sławę najlepszego rolnika, dzięki nabytym wiadomościom przyrodniczym.

Rok 1830 jako prawdziwego syna ojczyzny zaciąga Domeykę do szeregów Jej obrońców, rok 1831 przenosi go z jednej warowni niemieckiej do drugiej jako więźnia.

Nakoniec uwolniony, udaje się wraz z przyjacielem swym, wieszczem Adamem, do Paryża i tu zwraca na siebie powszechną uwagę pierwszorzędnych ówczesnych powag, jako słuchacz wyższej szkoły górniczej. Gdy rząd republiki Czylijskiej zażądał profesora do nowo-otworzonej akademji górniczej w Coquimbo w Chili, paryscy jego profesorowie tam go jako swego kandydata wysłali.

I całe swoje życie, życie niezmordowanego badacza, uczonego i organizatora spędził Domeyko w Chili prowadził wykłady mineralogji, analizował rudy, odkrył bogate pokłady srebra, miedzi i złota, co mu zjednało ogromną sławę i popularność.

W 1843 roku ogłasza drukiem rozprawę, w której proponuje przekształcenie dotychczasowych urządzeń szkolnych na modłę wileńską. Rozprawa ta miała ogromne powodzenie i zyskała mu godność członka rady wychowania publicznego.

W r. 1845 odbywa podróż do Araukanji, na południe państwa i po powrocie nietylko daje sprawozdanie ze swej podróży w rozprawie p. t. „Araukanja i jej mieszkańcy", ale daje rady, w jaki sposób udałoby się ucywilizować dzikich Araukanów. Rozprawa miała szalone powodzenie w całej Ameryce południowej, była tłumaczona na różne języki i rząd Czylijski poszedł za rozumnymi radami Domeyki, co niedługo wydało doskonałe owoce.

Opracowuje projekt wodociągu miejskiego pięknej stolicy Czylijskiej San-Jago, dalej bada wulkanizm w Kordylejerach, bada geologiczną budowę łańcucha gór Czylijskich, pracuje nad meteorologją i pisze rozprawę o klimacie Czyli.

Słowem, śmiało rzec można, że gdyby nie Domeyko, republika Czylijska nie dosięgłaby tego wysokiego stopnia rozkwitu, na jakim się znajduje obecnie.

Jako emeryt republiki Czylijskiej z dożywotnią pensją 30.000 franków, członek licznych akademji, między innymi i Krakowskiej, zatęsknił za swą prawdziwą ojczyzną i w r. 1884 odwiedził Polskę, gdzie zabawił 4 lata. W roku 1888 jeszcze raz wrócił do Chili, gdzie zmarł w r. 1889.

W pamiętniku swoim opisał wrażenia przyjazdu na obcą ziemię i chwilę opuszczania Ameryki. Ciekawe a pełne uczucia są jego słowa.

„Było to 17-go maja 1838 roku, w dzień jesienny; — pisze Domeyko—świtać poczynało, śnieg gęsty padał z silnym wiatrem od zachodu.—Zmęczony trzysta milową konną po stepach podróżą, szarym tułaczym płaszczem owinięty, zziębły, skurczony, na chudej szkapie, bez grosza, wdzierałem się na wysoki, o 5,000 metrów nad poziom morza podniesiony grzbiet Kordylierów Uspallata. Oczu trudno było otworzyć; oddech przyśpieszony, droga szła stromo, w zamieci ukryta; uparta, twardousta mulica poczuła, żem nią kierować nie umiał, już gdzieś mię na bok w przepaść ciągnęła, gdy na czas podbiegł *arriero*[1]) chwycił za uzdę i uratował. Z trudem, Opatrznością tylko Bożą wiedziony, około południa do pierwszej dobiliśmy się *kassuczy*[2]), pustej chałupy, gdzie na gołej ziemi, w niemiłym orszaku, w dymie od tytuniu i od kurzącego się chrustu przecierpiałem... Trzeciego dnia na szerszą schodzimy dolinę... Przechodząc koło nich, (chałup wieśniaczych) widzę lud mnogi, z twarzy przedkolumbowego szczepu, i ludzi białych; do nikogo przemówić, nikogo zrozumieć nie umiem, patrzą na mnie jak zazwyczaj na cudzoziemca. Na piąty dzień, niemy i niewesoły, dojeżdżam do Wielkiego Oceanu...—Ostatniego dnia podróży było trzęsienie ziemi. Takie było moje przybycie do Chili.

„We czterdzieści sześć lat potem, dnia 23 maja 1884 roku, w bogatej, wspaniałej stolicy, 150,000 mieszkańców liczącej, gwarny orszak przyjaciół i przedniejszych obywateli, posłów sejmowych i senatorów Rzeczypospolitej, młodzież szkolna i uniwersytecka, dwaj synowie i liczni krewni nieboszczki żony mojej, towarzyszą mi do dworca przepysznie

[1]) Przewodnik i właściciel najętych mułów.

[2]) „Casuchi", jedna z pustych chałup, które za rządów hiszpańskich pomurowano tu przy drodze dla bezpieczeństwa podróżnych.

zabudowanej stacji kolejowej. Tam muzyka gra hymn narodowy czylijski, huczne okrzyki: Viva! viva! witają mnie jakby zwycięsko wracającego z wojennej wyprawy, a urząd kolejowy otwiera mi wagon honorowy, którym tylko sam prezes Rzeczypospolitej, jego ministrowie i uprzywilejowane osoby jeżdżą. Tu z peronu jeden uczeń instytutu narodowego przemawia do mnie, winszuje, że obaczę kraj mój rodzinny i powołuje, abym nie ociągał się z powrotem do tej drugiej ojczyzny, sercem zdobytej. Ze wzruszenia, jakiego doznałem, słów kilka zaledwie wymówić zdołałem i zakończyłem szczerym wykrzykiem: Viva Chile!—W tym momencie trzykroć ryknęła lokomotywa, i wśród tysiąca okrzyków przy odgłosie muzyki, ruszył tryumfalny pociąg..."

W sąsiedniem Chili Peru podobne losu koleje spotkały niemniej słynnego ziomka naszego Władysława Folkierskiego. Urodzony w r. 1842, kończy z odznaczeniem politechnikę w Karlsruhe w 1863 i taki zdobywa rozgłos, że niebawem powołuja go jako delegata do budowy dróg żelaznych w Peru. Buduje on najwyższą w świecie linję kolejową przez Andy z Limy do Oroja, dochodzącą do wysokości 4770 m. (t. j. o 40 m. tylko niżej od Mont-Blanc.) W 1886 zostaje profesorem matematyki w uniwersytecie w stolicy Peru-Limie, w 1888 wybrany na dziekana tego fakultetu. Gdy wybuchła wojna z Chili, jako inżynier zostaje Folkierski powołany do budowy fortyfikacji w Limie i jej porcie Kaliao. Po wojnie powołują go na dyrektora zarządu dróg żelaznych, idących od Oceanu Spokojnego aż do jeziora Titikaka, leżącego na 3,5 tysiąca metrów nad poziomem morza. Wyborny administrator, tak podnosi dochody z kolei, że mu dodają jeszcze zarząd żeglugi na tym najwyższem na kuli ziemskiej ogromnem jeziorze i dopiero, gdy Peru wydzierżawiło wszystkie swe koleje Anglikom, trawiony tęsknotą za krajem, wraca Folkierski do Galicji i poświęca się ulubionej matematyce, pisząc dzieła i rozprawy.

Przy budowie kolei z Limy do Oroja odznaczył się również inżynier Ernest Malinowski.

W oblanej temiż wodami Oceanu Spokojnego Azji, na Sachalinie, Kamczatce, Syberji iluż spotykamy wielkich Polaków? Jakże wielkie położyli oni zasługi naukowe — dla obcego wrogiego nam, niestety, państwa.

Aleksander Czekanowski, urodzony w wielkim roku 1830 na Wołyniu, w miasteczku Krzemieńcu, skąd sława nauki polskiej, z założonego przez Czackich liceum, szeroką szła falą. Profesor liceum Besser, jego ojciec chrzestny, za młodu rozbudził w Czekanowskim zamiłowanie do przyrody i zapał do nauki, profesor zaś Wyżewski, przeniesiony do Kijowa, po zamknięciu liceum przez rząd rosyjski, zabrał go ze sobą do Kijowa, gdzie ukończył on w r. 1855 Wydział medyczny. Zamiłowany do nauk przyrodniczych (leczeniem nigdy się Czekanowski nie zajmował) w r. 1863 na stałe osiadł w Syberji Wschodniej, z zapałem poświęcając się studjowaniu całkiem podówczas jeszcze nieznanej przyrody tego kraju. Walcząc z niedostatkiem, posyłał swe prace i zbiory do Akademji Petersburskiej, to też Akademik Schmidt powołuje go do Syberyjskiego Towarzystwa geograficznego w r. 1868. Ten fakt stał się punktem zwrotnym w życiu Czekanowskiego, gdyż, rozporządzając ogromnymi już środkami, mógł prowadzić badania owocnie i intensywnie, dzięki niemu białe miejsca na mapie Syberji zaczęły nabierać konturów i kolorów. Zbadał on całą gubernję irkucką, i tajemniczą wyspę Olchon na jeziorze Bajkalskim, gdzie oprócz niego jeden tylko był cywilizowany Europejczyk, Polak, Józef Kowalewski.



P. Antoni Dobrowolski.

Potem uczestniczy Czekanowski w wyprawie astronoma Neumana do Mongolji, razem z profesorem Benedyktem Dybowskim, zesłańcem 63 roku, Wiktorem Godlewskim i Stanisławem Wrońskim. Za mapę geologiczną gubernji Irkuckiej dostaje Czekanowski wielki medal złoty od Towarzystwa Geograficznego Rosyjskiego, a potem od Paryskiego. W latach 1873—1876 odbywa trzy wielkie wyprawy naukowe: nad Dolną Tunguzkę, potem nad Lenę. Olbrzymie jego zbiory (8 tysięcy okazów flory Syberyjskiej, 10 tysięcy skamieniałości, 20 tysięcy okazów entomologicznych) budzą zachwyt na wystawie w Petersburgu.

Na rok 1877 przygotował Czekanowski nową wyprawę na wybrzeża rzek Anabary i Chatungi, lecz niespodzianie zachorował i zakończył życie 30 października 1876. Wyniki jego badań doczekały się

wielkiego uznania i były drukowane w słynnych „Mitteilungen” Petermana.

Józef Siemiradzki, urodzony w r. 1888 słynny geolog i profesor geologji i paleontologji w uniwersytecie Lwowskim też badał Amerykę Południową podczas swych wycieczek naukowych w 1881—1882 roku oraz w 1891, ogłaszając drukiem liczne swe prace.

Jan Sztolcman, słynny podróżnik i badacz Peru, niedawno opublikował pracę o swojej podróży, odbytej tam przed laty 40-tu. Spotykał się tam z wielkim podróżnikiem amerykańskim Konstantym Jelskim, badaczem Gujany i Peru. Ciekawe dwa tomy p. t. „Peru”, wydane przez 4-ma laty poświęcone są pamięci sławnego polskiego ornitologa Władysława Taczanowskiego, pod którego kierownictwem w Uniwersytecie Warszawskim, począwszy od r. 1872 nabrał zamiłowania do badań przyrodniczych.

Ciekawych odsyłamy do tej wartościowej pracy.

Kolega Ignacego Domeyki, członek stowarzyszenia Filomatów, Szczepan Kowalewski (ur. 1800—1870), szybko zasłynął jako wybitny orjentalista. Ur. w r. 1800 w Grodzieńkim (ilu jednak ta Litwa wielkich wydała Polaków?) w 17 roku życia przybywa do Wilna i studjuje z zapałem historję i filologję pod kierunkiem profesorów Lelewela, Grodka, Borowskiego i inn. O wybitnych zdolnościach i niezmordowanej pracy otrzymuje w r. 1823 miejsce klasyka w gimnazjum Wileńskiem, lecz przez Moskali do więzienia wtrącony za sprawę Filaretów, zostaje wysłany do Kazania, gdzie mu pozwolono pracować w uniwersytecie. Jak bardzo wyróżniał się wśród swych azjatyckich kolegów Kowalewski, świadczy fakt, że go Uniwersytet Kazański wysyła w r. 1827 na misję naukową do Irkucka. Tam bada język, układa gramatykę, zbiera moc wiadomości o Tunguzach i Burjatach, wśród ciągłych niewygód podróżując po tajgach Sybiru, zaś w r. 1830 zostaje wysłany do Pekinu dla studjów nad zupełnie podówczas nieznaną państwowością i życiem Chin.

W r. 1833 zdaje Kowalewski sprawę ze swej pracy w Akademji Petersburskiej i zostaje mianowany profesorem języka i literatury mongolskiej w uniwersytecie w Kazaniu. Był on w tej pracy przewodnikiem, pionierem, torował nowe drogi, ale też jego dzieło: słownik i gramatyka języka mongolskiego stanowi wiekopomną pracę.

W roku 1845 zostaje Kowalewski dziekanem w uniwerystecie w r. 1844 rektorem, gdzie przebywał aż do r. 1860.

W r. 1862 zostaje powołany na profesora historji powszechnej do Szkoły Głównej w Warszawie.
Tu musiał znowu zmieniać swoją specjalność: w Wilnie ongi pracował nad literaturą klasyczną, w Kazaniu nad orjentalistyką, tu nad hisroją. Cała jego bibljoteka z licznemi rękopisami zginęła podczas rabunku domu Andrzeja Zamoyskiego (przy Nowym-Świecie L 69).

W Szkole Głównej przebył jako dziekan wydziału filologicznego do czasu jej zamknięcia w r. 1869, a potem aż do śmierci (1878) w Uniwersytecie Warszawskim.

Niestety, długi pobyt w Rosji zatarł w Kowalewskim wspomnienia świetlanych dni „promienistej” młodości. Obsypany dostojeństwami i nagrodami, sprzeniewierzył się ideałom. Ożenił się w Kazaniu z tatarką i obaj jego synowie, słynny malarz batalista Paweł i sławny fizjolog Mikołaj wychowani przez matkę po rosyjsku, prawosławni, sławą swą i nauką rozsławili niepolskie niestety imię.

Tajemniczy ląd, Afrykę, badali i polscy podróżnicy. Jednym z nich był Stefan Szolc-Rogoziński ur. w r. 1860, który jako miczman floty rosyjskiej odbył w r. 1874—80 podróż do Indji. Wracając z Kalkuty, zmuszony do dłuższego zatrzymania się w Neapolu, ułożył z kilkoma Włochami projekt wyprawy naukowej do Afryki Zachodniej do tajemniczych jezior Liba w pobliżu gór Kameruńskich.

Dla nadania tej wyprawie cech wyprawy polskiej ogłosił w „Wędrowcu” odezwę, zachęcającą polaków do udziału w tej wyprawie. W 1882 wyprawa wyruszyła z Hawru, przez Lizbonę, wyspę Maderę, wysepkę Fernando-Po, leżącą w tajemniczej zatoce Gwinejskiej, do gór Kamerunu. Opisy swych egzotycznych wycieczek po rzece Mungo do krajów Bakundu i Mokonja zamieszczał w „Mittheilungen” Petermana i w polskich czasopismach. Poślubiwszy w r. 1888 znaną powieściopisarkę Hajotę, osiadł z nią w nabytej na wyspie Fernando-Po kolonji, odbywając liczne wycieczki na ląd afrykański do Daharum, Kalabaru, rzeczpospolitej murzyńskiej Liberji, pomiędzy ludożercze plemiona Pangue i wreszcie na szczyt góry Santa Isabel (2850 metrów wysokiej), na samej wyspie, dla dokonania pomiarów. W r. 1891 powrócił do Europy.

Wązkie ramy niniejszego artykułu nie pozwalają na wyliczenie wszystkich podróżników polskich i ich wiekopomnych odkryć.

W każdej części świata stanęła śmiała polska stopa, a polski rzutki umysł badał krainę, przyczyniając się do rozpowszechnienia nauki. Nawet lody i śnieżne pustynie Antarktydy znalazły swoich badaczy Polaków: któż nie pamięta prac Arctowskiego i profesora Antoniego Dobrowolskiego z Warszawy do bieguna południowego wyprawy na pokładzie okrętu „Belgica”?

Słynny polski bakterjolog Danysz, chlubnie znany z prac swych w Paryżu odbywanych, powołany został przez rząd Australijski do walki z palącą plagą miejscową królikami.

Króliki te, na próbę w r. 1862 przez kolonistów w ilości jednej pary sprowadzone, tak się rozmnożyły że obecnie w miljonach sztuk niszczą pola i pastwiska Australji, tej „największej w świecie owczarni” i śpichrza pszenicy. To też cała zachodnia Australja wzdłuż 120 południka ochroniona jest od królików

drucianą siecią na przestrzeni tysięcy kilometrów. Danysz miał zaszczepić królikom toksynę dla ich wygubienia.

Na archipelagu Malajskim robił badania Polak w służbie holenderskiej, geolog Tołwiński, zaś Tadeusz Kończa w 1911—12 roku z wyprawą miljonera Welcome'a badał lodowce na niebosiężnych szczytach Himalajów. Profesor Siedlecki bada wyspę Jawę, spisując w arcyciekawem dziele rezultaty swych badań i całą swą podróż.

Genjalny nasz pisarz Sieroszewski, zbyt jest znany, żeby potrzeba było wspominać o jego pracach z Korei, Sachalinu i Syberji wschodniej.

Bronisław Piłsudzki, brat wodza naszych bohaterskich legjonów, jako zesłaniec na Sachalin, opisuje miejscowe plemiona Ajnów i Gilaków.

Jerzy Loth, w Ameryce Śeodkowej bada całe wybrzeże Moskitów i rzekę Rio-Koko.

Nakoniec popularny i zasłużony prezes naszego Towarzystwa Krajoznawczego, Aleksander Janowski, podczas swego rocznego pobytu w Ameryce północnej studjuje warunki polskiej emigracji, aby je w szeregu artykułów i odczytów wśród szerszej publiczności naszego kraju spopularyzować.

I to jeszcze trzeba zaznaczyć, że wszędzie, gdzie powstała polska stopa podróżnika, jaknajlepsze po sobie zostawił on wspomnienia, jego wszechstronna wiedza, kultura, wszędzie pozostawiły po sobie jaknajlepsze wrażenie.

,,Pan jesteś Polakiem!" — powiedział mi interwiewujący mnie dziennikarz amerykański w Honolulu, podczas mego pobytu na wyspach Hawaji, — My Polaków znamy — to dzielny i kulturalny naród —tylko ich nazwisk wymówić nie sposób".

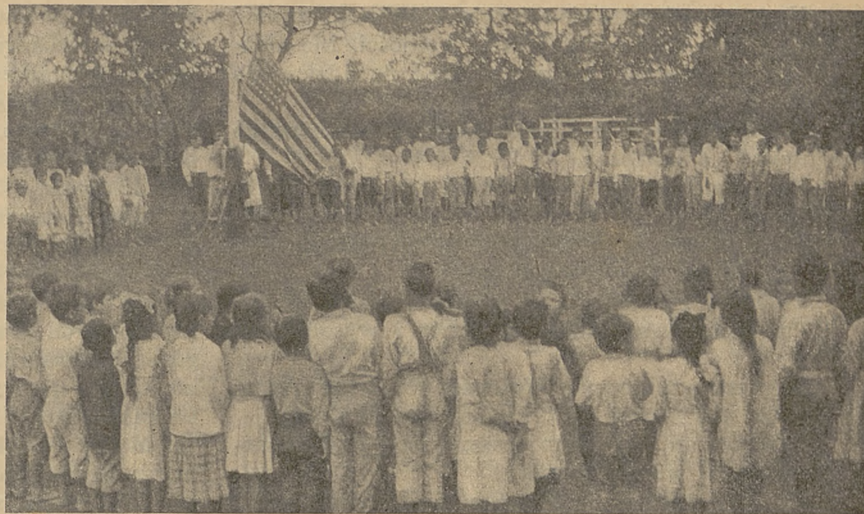
Cześć więc i sława niech będzie podróżnikom polskim!"

*Tadeusz Radliński.*

□□□□□□□□

## W SZKOLE AMERYKAŃSKIEJ.

W Stanach Zjednoczonych zaprowadzone jest nauczanie powszechne obowiązkowe. Każde bez wyjątku dziecko do lat 14 musi chodzić do szkoły, a jeżeli policja zobaczy dziecko na ulicy w godzinach szkolnych, zatrzymuje je, odprowadza do rodziców i pociąga ich do odpowiedzialności. To też w godzinach zajęć w szkole nie widzi się absolutnie nigdzie wałęsających się dzieci.



Szkoła w Kilauea—Sugor Plantation, na wyspie Kanai w archipelagu Hawaji. Podniesienie sztandaru.

Początkową edukację otrzymuje każde dziecko bezpłatnie, a ciągnie się ona przez lat 8 t. j. od 6 — 14 roku.

Szkoła początkowa nazywa się Public School. Po jej ukończeniu kto chce może wstąpić do szkoły wyższej (High School), która odpowiada mniej więcej naszym klasom 4 — 5 — 6, kurs ma 4 letni, kończą ją więc koło 18 roku życia, poczym wstępują do kolegjów (College) z kursem trzy letnim, przyczem pierwsze dwa lata odpowiadają naszym klasom 7 i 8, a na trzecim roku jest już specjalizacja, jako wstęp do studjów uniwersyteckich.

W Stanach Zjednoczonych duży nacisk kładzie szkoła w rozwoju duchowym na rozbudzenie przywiązania do ojczyzny, a w rozwoju fizycznym na sporty.

### NASZ SZTANDAR.

Wykłady w szkole rozpoczynają się od podniesienia flagi amerykańskiej. Tylko dobremu uczniowi wolno dotknąć się sztandaru narodowego, a wszystkie dzieci muszą umieć utwór pani Idy Louisy Gibbs ,,Część sztandarowi". Mrs. Gibbs jest przewodniczącą Ligi świętości sztandaru, a utwór jej brzmi:

,,Nasz sztandar, to symbol braterstwa ludzi, to symbol odwagi, rycerstwa, szlachetności i honoru. Żadna ręka nie może go dotknąć brutalnie i bez szacunku. Wzniesiony jest on wysoko: powiewa tylko nad swemi dziećmi, podnosząc ich oczy i serca ku swym jasnym barwom. Pod blaskiem jego gwiazd jesteśmy bezpieczni, jak żaden z narodów świata.

,,Honor sztandaru powierzony jest ludowi. Mąż dojrzały, czy dziecko niech z szacunkiem odkrywa głowę, widząc te jasne pasy, żywą krew bohaterów, te gwiazdy, promieniujące na wieki.

,,Nasz sztandar, to nie zabawka chwilowa, to moc i prawo, prawo do obywatelstwa i wolności. Nie można go ciąć ani szarpać, nie można brać na odzież lub pokrycie.

,,Nie może on służyć jako reklama, nie można go profanować i o śmieszać.

,,Począł się on we łzach i krwi, a krew i łzy były jego chrztem.

,,Od 14 Lipca 1777 r. powiewa on nad krajem szczęścia, dobra, opieki i postępu.

,,Podnosić go mogą tylko uczciwe, prawe ręce.

,,Podnieść ten sztandar to honor i wysokie zaufanie.

,,Nasz sztandar to znak Wolności, Równości i Sprawiedliwości dla każdej istoty, która pod nim staje.

,,Powiewa on zwycięsko i promieniście nad otwartemi drzwiami wolnej szkoły.

,,Masz go używać—nie wolno ci go nadużywać!''

Tę część dla sztandaru wpajają dzieciom we wszystkich szkołach na ziemiach Stanów, tak dobrze nad-Atlantykiem, jak i nad Pacyfikiem, na Hawaji, na Filipinach, na Porto-Rico, wszędzie.

Sztandar amerykański począł się we łzach i krwi, był bowiem uszyty po raz pierwszy w czasie wybuchu rewolucji przeciw krwawym rządom Anglji w jej zaoceanowej kolonji. Składa się on z 13-tu pasów biało czerwonych, które oznaczają trzynaście stanów nadatlantyckich, rozpoczynających walkę o niepodległość. U góry w rogu na niebieskim polu jaśnieje 48 gwiazd — to 48 zjednoczonych stanów, o ile jakieś puste ,,terytorjum'' zamienia się na ,,Stan'' (,,Territory''—,,State''), to przybywa na błękitne pole nowa gwiazda.

*Al. Janowski.*

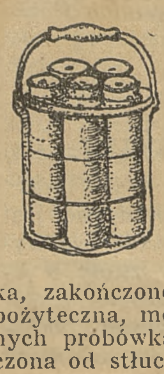
# Życie w wodzie.

Skorzystajmy z cudnej letniej pogody i wybierzmy się za miasto, by zapoznać się z wód mieszkańcami. Pierwsza lepsza sadzawka, rów a nawet kałuża — oto cel naszej wycieczki. Nie jednemu może wydałoby się śmiesznym i bezcelowym zatrzymywanie się nad jakąś mizerną sadzaweczką, która pomimo, że odświętnie w wieniec z różnych roślin przystrojona nie pociąga nas zupełnie. Sprobujemy jednak zatrzymać się nad nią dłużej, a przekonamy się, ile istot ciekawych mieści ona w sobie, ile życia!

— A gdzież są owe stawki? zapyta ktoś może. Gdzie? — odpowiedź łatwa — wszędzie. Wystarczy minąć rogatki miejskie, a cel już blizki. Jedną z miejscowości, najbardziej nadających się do wycieczek przyrodniczych zaledwie o kilka wiorst odległą od Warszawy jest Drewnica, z dalszych — Czarna Struga. Tu znajdujemy wszystko: bagna, rowy, sadzawki, strumyki, torfowiska, łąki, lasy i pola uprawne. Tym razem wyszliśmy z zamiarem poznania życia wód stojących, wystarczy więc, gdy doszedłszy do Drewnicy, skręcimy na prawo tuż za stacją kolejki Mareckiej i tu się zatrzymamy. Zaraz na wstępie ujrzymy całe bogactwo rowów i sadzaweczek. Od nich zaczniemy, a przekonamy się wkrótce, jakie skarby kryją one w sobie. Zatrzymajmy się chwilę nad brzegiem. Cisza i pustka zda się kompletna, jeno płaskie zatoczki i pękate błotniarki przesuwają się flegmatycznie z miejsca na miejsce, a długonogie nartniki lekko i zwinnie suną po wód powierzchni. Czasem ,,coś'' wypłynie ku górze i czemprędzej w głąb się schowa. Oto wszystko. O nie, nie wszystko, przeciwnie, drobna to cząstka zaledwie, jak przekonamy się zaraz. A więc do pracy! Mamy ze sobą wszystko, co potrzeba: siatkę mocną, z grubej kanwowatej tkaniny, osadzoną na długim kiju, słoiki, separatkę,[1]) pincet i notatnik. A więc zaczynajmy.

Energicznym ruchem ręki zapuszczamy siatkę do wody i przesuwamy nią pomiędzy roślinami szybko, by nie wypuścić schwytanej zdobyczy. Następnie, unosimy siatkę do góry — woda wycieka a na dnie siatki mułem przykryte, zaplątane wśród odłamków roślinnych, gramolą się przeróżne istoty, czyniąc wszelkie możliwe wysiłki, aby jak najprędzej z pęt się uwolnić. Kładziemy siatkę na brzegu, pincetem wyciągamy ostrożnie jeden okaz po drugim i wrzucamy do słoika z wodą. Nie radzę jednak dla uproszczenia czy też pośpiechu pincetu zastępować palcami. Nie dla tego, że to nie miło babrać się w błocie, bo to kwestja gustu, ale stojąca woda często jest siedliskiem zarazków.

Przy przenoszeniu okazów do słoików, nie kładźmy ich bezmyślnie, gdzie się zdarzy, bo w ten sposób nie wiele z nich doniesiemy do domu cało. Jedne posną w drodze z braku tlenu, inne staną się pastwą drapieżników. Najbardziej wymagającymi są stworzenia oddychające skrzelami, jak rybki, kijanki. Tym musimy dać względnie dużo wody i słoik chronić od słońca. Inne zaś, jak niektóre ślimaki, żuki i pluskwiaki są zupełnie niewybredne co do jakości i ilości wody, byle miały wolny dostęp do powierzchni dla zaczerpnięcia powietrza. A drapieżniki? Z tymi



[1]) Nazwę seperatki dałam przyrządowi, który oddawał mi ogromne usługi na wycieczkach, gdy chodziło o przyniesienie do domu okazów żywych. W handlu przyrządu takiego niema, lecz można go sobie samemu bardzo łatwo zrobić. Bierzemy kilka probówek o średnicy 3—4 cm., zdopasowanemi korkami, w którysh rozpalonym drutem robimy dziurkę dla dostąpu powietrza.—Następnie z drutu robimy pancerz, w rodzaju koszyczka, zakończonego rączką. Taka separatka jest bardzo pożyteczna, możemy w niej trzymać okazy w oddzielnych probówkach, a jest i praktyczna, bo zabezpieczona od stłuczenia i łatwo da się przenosić.

trzeba ostrożnie, a jest ich bardzo wiele. Do największych wśród nich (kałużnicę pomijamy, gdyż nie jest tak niebezpieczna) należą wielkie żuki wodne bronzowo-zielone z żółtym brzeżkiem wokoło. Są to pływaki złotobrzeżki. Spotykamy u nas wiele gatunków: duże i małe, ale wszystkie równie krwiożercze. Gdy nie mają rybki, owada lub innej ofiary, rzucają się na swych braci, pożerając chciwie. Nie lepsze od nich są i ich larwy, z wyglądu zupełnie niepodobne do postaci dorosłych. Takie same zwyczaje jak poprzednie mają i larwy ważek, uzbrojone w maskę chwytną. Te również trzymają się zasady: ,,co na placu, to nieprzyjaciel''. Pluskwiaki wodne również lepiej umieścić oddzielnie.

A czy nie lepiej byłoby, gdybyśmy zaraz na miejscu uśmiercili naszą zdobycz? W domu wbilibyśmy na śpilki, włożyli do pudełek i ... i po jakimś czasie zapomniane, przewracane z kąta w kąt, z połamanemi nóżkami, poniszczone przez mole, wyrzucilibyśmy sami. Nie, tego nie mamy prawa robić! Dużo lepiej, gdy wszystko, a przynajmniej to, czego nie znamy jeszcze bliżej, przyniesiemy do domu w stanie żywym. Umieścimy w paru dużych słojach, będziemy mogli przyjrzeć się ich życiu z blizka. Wprawdzie niewolnikom naszym nie będzie tu tak dobrze, jak było na swobodzie, to jednak staramy się dać im warunki najznośniejsze. A gdy nam są już zbyteczne, wypuścimy na wolność. Takie żywe okazy przyniosą nam bez porównania więcej korzyści. A hodować je łatwo, byle wiedzieć, czem karmić. A więc nie traćmy czasu. Cierniki, kijanki i ślimaki włóżmy do największego słoja. Kałużnice, pływaki i ich larwy, jak również larwy ważek i szklarzy — najlepiej do separatek. Nie zapomnijmy także zabrać pająków wodnych, jak np. topika, który nam powietrzny dzwon zbuduje lub aksamitnej ponsowej wodopojki. Nie pogardzajmy także larwami chróścików, dźwigających za sobą domek z drobnych muszelek lub patyczków ulepiony, ani pluskwiakami, z których najciekawszym jest topielnica, naśladująca patyczek i z tego powodu trudniej od innych zauważona. Resztę zostawmy w spokoju. Niech buja sobie na swobodzie. Przyjdziemy tu pewno nie raz jeszcze.

*Wanda Roguska.*

□□□□□□□□

## MOJA PIERWSZA WYCIECZKA W POJEDYNKĘ.

Moja pierwsza wycieczka... Hej! myśl ulatuje do tych chwil jedynych, kiedym to dopiero stawiał pierwsze kroki na drodze poznawania siebie, ludzi, Ojczyzny. Brakowało mi wtedy doświadczenia harcerskiego, grona druhów bratnich, serdecznych.

Prawo i ,,Vade mecum'', przemycane ukradkiem przez kordon, — oto wszystko. Trzeba było iść omackiem, potykać się z przeciwnościami, ale zarazem, nabierać w nich hartu sił i wiary w jaśniejsze jutro. Ale ochoty i wiary nie brakło.

Pamiętam, jak dziś, wakacje 12 roku. Słuchy o skautingu przedostały się już do Kongresówki, zawiązały się już pierwsze patrole, ale było robione ostrożnie, cicho przez starszą młodzież, a ja byłem zbyt młody dla dopuszczenia mnie do tej tajemnicy. Ale jakaś wzmianka w piśmie o skautingu, przelotna rozmowa z osobą, która przed zakończeniem roku szkolnego przyjechała z Krakowa i przywiozła garść wiadomości o skautach, zachęciła mnie do doświadczenia tych przygód i wrażeń, jakie odbierali bracia z za Wisły.

Już od dawna marzyłem o odbyciu samodzielnej dłuższej wycieczki. Coś mnie ciągnęło, nęciło, wołało ku sobie. I nakoniec, po dłuższych pertraktacjach i usilnych przekonywaniach, że się zgubię, że wrócę pod wieczór do domu, że będę ostrożny, że... no! po całej serji podobnych zapewnień, otrzymałem wreszcie pozwolenie na samodzielną wycieczkę. Już w wilję, wieczorem, przygotowano mi plecak. Czego tam nie było: chleb, masło, ser, jaja, ciasto, mięso owoce i... pączki! Tak pączki! Słowem szykowała się wyprawa do bieguna. Ale cóż byłem zaledwie początkującym biszkoptem...

Rankiem, kiedy jeszcze wszyscy spali, wymknąłem się ostrożnie z domu, i poszedłem na przełaj w kierunku lasu.

Dziwnym tego ranka wydał mi się ten stary, znajomy las. Znałem go zdawało się dobrze, a jednak miałem wrażenie, żem po raz pierwszy — doń wkraczał. Cisza, mgła rozwieszona na konarach, jak dymy kadzideł, wytwarzała nastrój dziwnie tajemniczy, uroczysty zarazem. Brodziłem wśród kęp zielonego mchu, omijałem pierzaste wachlarze sennych paproci lub kępy białawych wówczas leśnych korali — borówek. Wreszcie dostałem się na upatrzoną zdawna ścieżynę, idącą w głąb niezbadanego przezemnie lasu, którą postaniowiłem zbadać dnia tego. Las zaczynał się ożywiać; głosy ptasząt, zrazu pojedyńcze, potem zlewające się w jeden potężny chór, zaczęły nucić pieśń poranną lasu, znaną tak dobrze tym, co noc spędzili pod namiotami, kołysani szmerem sosen i brzózek.

Tymczasem słońce wznosiło się coraz to wyżej. Chór ptasząt rzedniał, milknął i tylko wesoła wilga przekomarzała się ze spokojnym a rozważnym dzięciołem.

Szedłem zasłuchany w pieśń lasu, dopiero głód przypomniał mi, że należałoby odpocząć. Uznojony i zmęczony porządnie, siadłem na miękkiej trawie w cieniu leszczyny, rosnącej tuż prawie koło drogi.

Cykotanie świerszczy, ukrytych w trawie, delikatne brzęczenie os, basowy lot czmieli, gorące, duszne powietrze, przepojone wonią kwiatów leśnych ukołysało mnie do snu...

Kiedym się przebudził, żar poobiedni złagodniał w powiewie chłodnego, wieczornego wietrzyku. W pa-

rę minut dosięgnąłem skraju lasu. Zacząłem się rozglądać. Wokół rozciągały się pola, przesycone złotą, gorącą barwą dojrzewającego zboża. Tuż, niemal u swych stóp, biały rumianek wiódł cichą rozmowę z szafirowym bławatkiem, pochylającym swą piękną główkę, skromnie, mimo swej piękności. Dalej iskrzyły się barwą rubinu czerwone maki, migoczące się jak iskierki za każdym podmuchem wiatru. Za zbożami w wieńcu śliw i jabłoni tuliły się, pokryte rdzawą patyną mchów, ciche chaty wioskowe.

Dymy jasnemi pasmami uchodzące ku niebu, potęgowały jasne wrażenie spokoju i majestatyczności, właściwej wsi naszej w przede dniu żniw. Za wsią podnosił się grunt lekką, falistą linją, stwarzając przepyszne tło dla ciemnej sylwetki wioski.

Z szeroko rozwartemi oczyma, oparty plecami o pień drzewa chłonąłem tę pyszną, w rozkwicie będącą krasę naszej ziemicy. Myśl ulatywała daleko... Czułem, jak budziło się coś, w duszy, jak ogarniało całą moją istotę. I zdawało mi się, że pagórki roztopiły się w tej złotej topieli zachodzącego słońca, a myśl wybiegła naprzód, prześlizgnęła się ponad siniejącym w dali lasem, wspięła się na góry Świętokrzyskie, musnęła w przelocie wiekowe Chęciny, dopadła Starej baszty ratusza sandomierskiego i ujrzała różowe szczyty Karpat...

Targnęła się myśl... Tam na skalnym zwale rozpięta, jak Prometeusz, Polska leżała skrwawiona. Biały ptak, krążąc nad nią, wzywał ratunku... I jakby w odpowiedzi na ten zew dały się słyszeć w powietrzu rzeźkie uderzenia młotów w kuźnicach małopolskich i podziemne a jednak namiętne sapanie miechów Kongresówki...

A światła, bijące z tych kuźnic, światła tęczowe, promienne, olbrzymiały, rosły, a w blasku ich powstawała Ona słoneczna, radosna...

Głos skowanej brzmiał coraz to głośniej, potężniej, mocniej, dźwięczał w mej duczy, wzbierał, rozkazywał...

— Dzieci! do mnie!

Poszedłem Jej służyć...

---

Taką była pierwsza moja wycieczka.

*M. Kilo.*

# Z BORÓW.

Mają te puszcze nasze odwieczne, z tylą baśni i podań, z tylą wspomnień przeszłości związane coś w sobie, co człeka do nich przywiązuje. Zapadły w nich one wspomnienia i żyją niezawodnie aż póki siekiera nie powali boru, a pług nie tknie polesia. Wyczytać z nich możesz, człeku, niejedno! Szmerem swym grają ci one melodję znaną z dzieciństwa, nęcą cię swą tajemniczością i dzikością odwiecznego gąszczu i cienia.

Bo też gwarzą one puszcze i lasy w każdej kraju okolicy o swej przeszłości inaczej, i tu pięknie, i tam piękniej, i owdzie najpiękniej. I rozpowiadają stare buki i smreki wysmukłe „hań z podkarpacia”, z Tater szalejącym wichrem miotane „o losach Janosików, i o królowych kędyś wędrówkach i powtarzają Sabołowe klechdy i baje”. I niesie szum jodeł legendy i opowieści o klasztorze, „gołoborzach” i o owych przesławnych po ziemi wszej wiedźmach i błędnicach Łysogórskich.

I gwarzą lekkim podmuchem wzruszone stare sosny Mazowieckie, i rozpowiadają olchy Podlaskie, a po piaskach rozsiadłe sośniny o różnych kolejach losu, o walce ciągłej a zaciekłej choć cichej, o walce obronnej o każde słowo.

I takąż pieśń nucą ostatki po nizinach, a mokradłach ongii rozsiadłych puszcz Piastowych hen od Mysiej wieży i dalej... aż po prastare wybrzeża...

A poważnie, z cicha, szeptem—jak to zwyczajnie w tej ziemi, bo inaczej to niewolno było, a i ludzie już tam tacy i kraj taki od dawien dawna—podają sobie przeróżne wieści „rówienniki litewskich wielkich kniaziów, drzewa Białowieży, Switezi, Ponar, Kuszelewa!”

Ciche stały głębie borów...

Jeno szum szedł po wierzchołkach drzew, szum i gwar jakowyś, jakby gawęda o latach starych, o czasach innych, ludziach odmiennych.

Te stare sosny, buki, te poszarpane mchem porosłe dęby — to świadki długich lat, wielu przeżyć głębi boru... Stary chłop w szarej z zielonym sukmanie prawił o tym, jak to tu kiedyś było. Las więcej wiedział, lecz mówić nie umie; chłop zaś umie prawić prosto, z pod serca.

Puszcza tu jeszcze wtedy się rozsiadła gęsta, bagnami otoczona, jedynym traktem kamienieckim przecięta z południa na północ.

Wedle bagien obszernych, na skraju dąbrowy stała leśniczówka samotna, wysokim częstokołem z okrąglaków—czy to przed wilkiem, czy złym człowiekiem — obwiedziona. O jaką staję drogi stąd było drugie ludzkie siedlisko, smolarnia, tuż koło gościńca—dwie marne lepianki i szopa, a dalej nieco na rozstaju dwa krzyże walące się, spróchniałemi ramionami ku ziemi pochylone.

Był wieczór... Cisza, spokój w naturze. Za krzyżami w zaroślach stata czała, konny krakus z dzielną miną, wesołą młodą twarzą. Patrzał w bór i czekał...

A tam w izbie gwarzyła starszyzna przy herbatce u pana leśniczego. Pan leśniczy, człowiek poczciwy, gościł jak mógł i umiał „panów oficjerów”, oficerków raczej.

Było ich trzech—w szarych czamarkach z zielonemi wyłogami. Jeden z twarzą młodą, jasną, zuchowatą, lnianą czupryną, zręczny i postawny w czerwonej koszuli i szarej czarmarce — to ich dowódca.

Bibl. Jag.

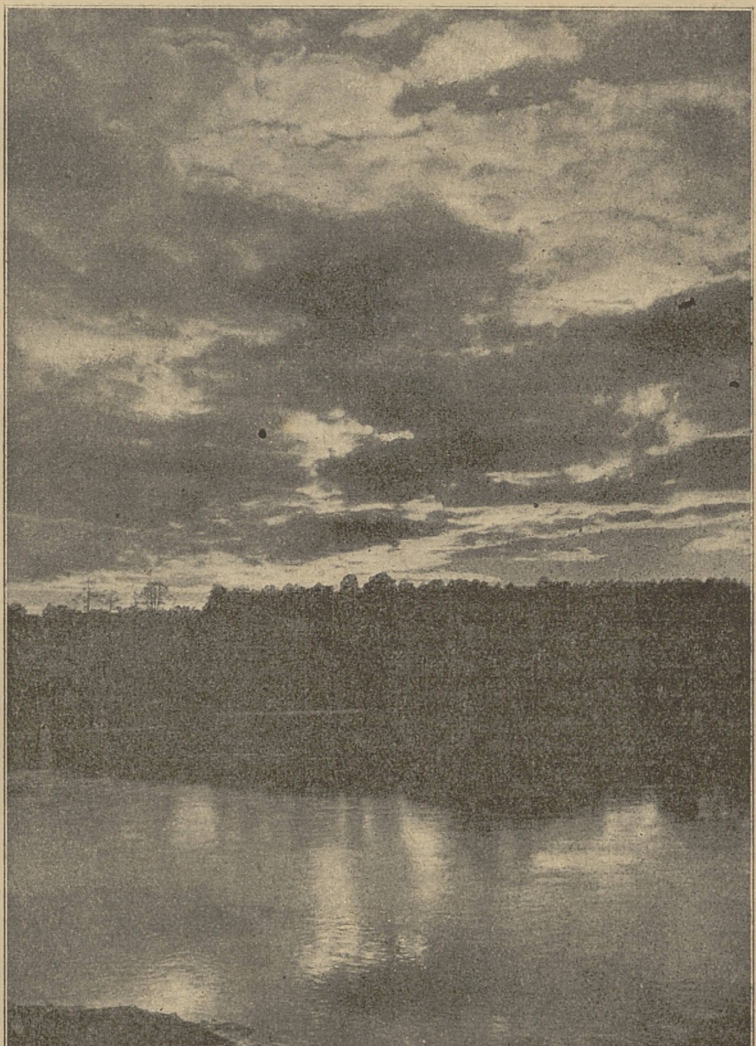
Po dwakroć przyszła wieść, że nieprzyjaciel wczoraj pobity, zbiera nowe siły i od Kamieńca ciągnie ku borom. Nie dawali temu wiary młodzi wodzowie, popijali herbatkę, gwarzyli wesoło w izbie...

Aż w borze poszedł szum mocniejszy i mocniejszy... Zagadały drzewa, a stary dąb na polanie im przewodził. I gadały i radziły, jakby tu pomódz tym młodym tam w izbie... A czarna masa piechoty szła wzdłuż traktem cicho, wśród cieni wieczora, po mchach, co głuszyły kroki...

Młody krakus nadstawił ucha.

Znów silniej zadął wiatr.

Krakus pochylił się na koniu i słuchał. ,,Dalibóg, coś idzie—pomyślał—czekalim ich długo, pewnikiem kupa Moskwy i odetchnął lżej, chwila stanowcza się zbliżała: bitwa nowa, a zapewne bitwa decydująca po kilkumiesięcznym uganianiu się, harcach w pojedynkę, samowtór czy na patrolach. Szum szedł jeszcze dość słaby; krakus wytężył wzrok... Coś nieostrożnie błysnęło tam w dali między czar-



nemi linjami traktu, wśród lasu... Zapatrzył się w dal, chcąc zmiarkować, co za siła iść może, co za wojsko... W tym coś zaszeleściało koło rowu, gdzie rósł głóg i jarzębina. Dwie szare postacie wyskoczyły jak z pod ziemi, dwie pary dzikich oczu zabłysły w ciemnościach... Jednym skokiem dopadli chłopca, widać żywcem i pocichu chcieli go wziąść. Zrozumiał krakus, że to ,,szpica'' moskiewska. Hanieb-

Czata stoi na rozstaju za krzyżem—spokojna—wiatr z przeciwnej strony przynosi jeno odgłosy z zagrody leśnika: to skrzypnął żóraw — boć pod wieczór konie poją—brzęknęła szabla, parsknęły konie, zagadali ,,chłopcy''... Ale las czuwał.

Widocznie rady dębu posłuchał się wiatr niecnota. Pociemniało—a wiatr wykręcając to tu, to tam zadął silniej od Kamienieckiego gościńca...

nie dał się podejść. Chwycił za szablę, ciął raz, drugi—zwalił jednego. Drugi wypalił. Koń widać dostał „obcirkę"; skoczył, jak oparzony. Krakus dobył z olster pistoletu, wypalił w ciemności; koń poniósł go, jakby rozumiejąc co czynić, jakby orjentując się w położeniu. Krakus skoczył do swoich.

Na dziedziniec wpadł jak piorun, osadził konia, poskoczył do izby...

„Moskwa idzie!"—rozległy się głosy. Szykowano broń, siadano na koń, choć i bez rozkazu...

Młodzi wodzowie wybiegli na majdan. A tu już słychać ciężki krok biegnącej ludzkiej masy. Wpadają na dziedziniec jeźdźcy-czatownicy... A tuż za nimi wdziera się czerń piechoty. Krakusi na nich; szablą drogę sobie torują.

Jeden oficer w szarym mundurze podbiegł do młodego wodza. Zamierza się szablą. Wystrzał z rewolweru powalił go na ziemię. Młody wódz dopadł konia.

Poszły rozkazy chaotyczne, potem szarża na piechotę. A potem pogrom... Potem znów potyczka z kawalerją... A potem, to już szli ci w nieładzie, zbici w masę, a młody wódz za nimi krok w krok. Zagarniał, otaczał, oskrzydlał.

Znał każdą ścieżkę, każden przesmyk, każdy jar, każdą „topiel".

Pchał ich ku bagnom przez noc ciemną. I potopili się w bagnach, zginęli w „topieli", pognili.

A ci, co uszli ku traktowi, padli od szabel, od pięści krakusa, od ostrej broni kosynjera w szarej sukmanie. A koło smolarni na rozstaju stanął krzyż trzeci. A więcej śladów niema, jeno czasem zajdzie do chaty dziad w starej z zielonym sukmanie i gada o tem i nie o tem, a o innych chwilach i losach. Gada o swej młodości, jakto w krakusach sługiwał, jako dał się podejść „szpieg" moskiewski, a potym „prał Moskwę".

A czasem może i las gwarzy, wieczorną porą z niebem gada. A czasem zagra pobudka; zaludni się las, zaroi od szarych mundurów, młodej braci harcerskiej. Wtedy głębie lasu przemówią, rozpowiadając swą przeszłość a krzepiąc serca. Jako i te puszcze się ostały, strzegące naszej przeszłości, tako i my się ostaniemy wsłuchania w ich głos potężny, że Polska jest i będzie!

Z opowiadań starego chłopa-powstańca przerobił

*S. W. H.*

□□□□□□□□

# Najmilszy dzień na kolonji.

Na werendzie domu kolonijnego w Broniewicach toczy się wielka narada. Przed chwilą Hala i Stasia wróciły ze wsi, gdzie codziennie urządzają gry i zabawy dla dzieci wiejskich, i przyniosły ważne nowiny. Oto na jednym z odpoczynków dzieciaki opowiadały o tem, jaka to długa i nudna jest zima w ich wsi, o ile to byłoby lepiej, gdyby kolonja została i na zimę w Broniewicach. Miałby kto wtedy opowiadać bajki i historje o rycerzach.

— No, a gdybyście umieli czytać? — podsunęła im tę myśl Stasia.

— Ba, wtedy! — po chwilowem milczeniu sprawę rozwiązał Walek kowalów. — To niech panienki pokażą im litery i to, jak się na książce czyta, ażeby oni sami mogli sobie przeczytać o rycerzu Zawiszy i o harmatach Bartosza.

Hala jest bardzo przejęta.

— Czy rozumiecie—mówi—jak ważną jest chwila dzisiejsza w życiu tych dzieci? Nie wystarcza im już życie, które mają dokoła i chcą wyruszyć na poszukiwanie rzeczy nieznanych, a przeczuwają, że znajdą je w książce. Chwila ta decyduje o całem ich przyszłem życiu i naszym obowiązkiem jest tę chwilę umiejętnie wykorzystać. Od tego bowiem, jak my się zachowamy zależy to, czy Stach lub Jaśka z nad wody będzie przez całe życie pasł krowy, czy też skończy szkoły, gdzie będzie można wykorzystać jego zdolci indywidualne. A od nas to zależy poprostu dla tego, że my mamy, jak mi się zdaje prawo powiedzieć, że tę chwilę obudzenia to myśmy, jeżeli nie stworzyły, to przynajmniej przyśpieszyły.

Teraz wszystkie dziewczęta mają coś do powiedzenia, bo każda z nich przyczyniła się do dzisiejszego, prawdziwie świątecznego dnia. Bo czyż nie jest świętem harcerskim doczekać się widocznego rezultatu swej pracy? Gwar cichnie tylko wtedy, gdy odzywa się króraś z dziewcząt, o której wiadomo, że umie się „wygadać".

— Wiecie — zaczyna Marysia — ja, patrząc na ogromne zainteresowanie, z jakiem dzieci słuchały opowiadań, wierzyłam, że przyjdzie dzisiejsza prośba, ale sądziłam, że jeszcze nie tak prędko.

— Jesteśmy w Broniewicach ile? trzy tygodnie?

— Nie, Wando, trzy tygodnie bez czterech dni — wyjaśnia Helka.

— To przecież tak krótko, a mnie się zdaje, że minęły lata od naszego przyjazdu. Szkoda, że już minęły trzy tygodnie!— wzdycha Nina.

— A wiele się to zmieniło przez te trzy tygodnie? Gdzie zaszły te zmiany?—zapytuje spokojny i mocny głos.

To plutonowa Hanka, która wróciła przed chwilą z pola, gdzie odprowadzała do pielenia dwa zastępy dziewcząt, a dziś jest najwyższą kolonijną szarżą wobec nieobecności druhny komendantki, Zośki.

— Ach, Hanko, ty nic nie wiesz! — krzyczy jedna, ale jej druga przerywa. — Wyobraź sobie... — Poczekajcie, ja opowiem... — Zrywa się cała burza okrzyków.

— No, cicho, już cicho! uspakaja je Hanka. Przedewszystkim powiedzcie, dlaczego tu siedzicie i gadacie, a w izbach wielki nieporządek i nie zaczęta nawet tygodniowa reparacja bielizny?

— A bo widzisz, to jest tak — cienki głosik Krysi przekrzykuje wszystkie inne i, korzystając z tego, jego właścicielka jednym tchem opowiada o prośbie dzieci i o tem, jak one zwołały tu dziewczęta, będące jeszcze koło domu, by im to powiedzieć i obgadać plan dalszych zajęć z dziećmi.

— O tak, to jest sprawa bardzo ważna — przyznaje Hanka — ale sądzę, że swobodniej nam będzie rozmawiać po sprzątnięciu izb, wtedy przyniesiecie szycie na brzeg potoku i tam wszystko obgadamy.

Zgadzają się wszystkie i rozpoczyna się gorliwe sprzątanie izb i przygotowywanie bielizny do szycia.

— Na miłość Boską, dlaczego tak kurzysz Irko, nie masz pojęcia, jak trzymać szczotkę! — w przerwach między jednym a drugim kichnięciem oburza się Anielka.

— Helko, znowu zapomniałaś umyć swego nakrycia? — nawołuje z kuchni Janka.

Helka dla swej zawsze uśmiechniętej buzi i złotej, wiecznie rozsypanej czupryny zwana Promykiem kolonji, z przerażenia opuszcza całą górę bielizny.

— Ach znowu po raz drugi zapomniałam o mojem ćwiczeniu, miałam przecież nie zapominać. Idę Janko, lecę, a nie myj mi, proszę! Niech będę ukarana!

Wreszcie porządki skończone i całe grono, prócz dyżurnych, kucharek i będących na robocie w polu, gromadzi się nad potokiem. A skoro robota była rozdzielona i igły tylko śmigały w powietrzu, do poprzedniej rozmowy nawiązała swe pytanie Hanka.

— Więc gdzie widzicie zmiany?

— Jakto, przecież ich wszędzie pełno, każdy widzi! — zaperzyła się Helka. — Ja naprzykład dziś tylko dwa razy zapomniałam, a dawniej zapominałam przez cały Boży dzień!

— No — przerywa Basia, która będąc starszą siostrą, ma ciągłe z Helą utrapienia — nie zapomnij tylko przeczesać się przed zbiórką, bo znów dostaniesz od Hanki burę na wieczornym raporcie.

— No, ale zmiany naokoło was? — przerywa Hanka.

— A także są duże! — odparła Wanda. — Czy naprzykład pamiętacie, co nas tak bardzo dziwiło u dzieci zaraz po przyjeździe tutaj? Dzieci wcale nie śpiewały, a teraz?

— Teraz wszystkie sady dźwięczą od piosenek o ułanach i Belinie.

— A czy pamiętacie, jakie było zdumienie, gdyśmy pierwszy raz opowiadały o żołnierzach polskich?— tak wydziwiali!?

— Nawet nie wspominajcie — prosi Irka — to był najsmutniejszy dzień w moim życiu!

— O tak i dla mnie również.

— A teraz w ostatnim tygodniu wiecie, ile książeczek sprzedałam?

— Ile? Nie mówiłaś nam tego Marysiu?

— Aż piętnaście!

— Przypomnijcie sobie, jak leczyli nogę Jędrka Kubusiaka!

— Do ropiejącej rany przykładali wilgotną ziemię! To cud Hanko, że ci się go udało uratować!

— A no, jeszcze zdążyłam z opatrunkiem, nic więcej.

— A dzisiaj na zabawie była ta mała, czarna Kasia, wczoraj skaleczyła sobie palec i byłam zdumiona, tak czysty był jej gałganek.

— Mam nadzieję, żeście obejrzały, czy bardzo zraniony?

— Oczywiście Hanko, Marysia zrobiła opatrunek.

— Wiecie — pochwaliła się Jasia — moja Zosia przyszła dziś umyta i uczesana, ba, nawet najstarsi chłopcy przybiegli dziś z umytemi rękami.

— Tak! A ja w to jedno zawsze wątpiłam — przyznała się Hala. — Lecz na tym nie dosyć, dziś, przechodząc przez wieś próżno szukałam przed chatami grzebiących się w błocie razem z prosiętami i psami małych dzieci, co nas napełniało takim obrzydzeniem!

— I pamiętacie, żeśmy podczas pierwszego przemarszu przez wieś postanowiły zaraz coś na to poradzić! Doskonała to była myśl, żeby nauczyć starsze dzieci opiekować się młodszemi!

— Tak, nawet niektórym chłopcom podoba się rola opiekunów!

— Ale, dziewczęta — znów przerwała Hanka — miałyśmy pomówić o planie pracy nad dziećmi, a wy tu mielecie, jak wiatraki. Mówcie po kolei, jak sobie wyobrażacie dalszą pracę. Marysiu zaczynaj. Ja proponuję gawędy, a właściwie pogadanki historyczne i przyrodnicze.

— Co? chciałabyś założyć uniwersytet?—wtrąciła Irka.

— Nie, sądzę — ciągnęła dalej Hanka — można opowiedzeć o najważniejszych faktach z naszych dziejów, o powstaniach, o rozbiorach...

— A ja... ale przepraszam, proszę o głos — zawstydziła się Janka — ja... myślę, że dzieciom wiejskim lepiej mówić o ludziach, niż o faktach, więc o Kościuszce, Poniatowskim.

— Mnie się nie podoba jedno! — przerwała Rysia. — Będziecie opowiadały tylko o dniach upadku, a jabym chętniej pogawędziła o dniach chwały i potęgi, pokazała, że Polska to coś, co każe się kochać i szanować!. Rozpowiadałabym o Jadwidze i Jagielle, o Chodkiewiczu i Sobieskim.

— Bardzo słusznie—rzekła Hanka — trzeba się tylko podzielić pracą. Na początek proponuję, niech

Marysia weźmie Kircholm, mamy zdaje się ryciny do tej pogadanki a ty, Rysiu, może odsiecz Wiednia? zgoda?

Dwa kiwnięcia głową i cisza — wniosek przyjęto.

— Tylko — nieśmiało odzywa się Hela, pogadanki powinny być krótkie i bardzo łatwe, bo przecież najwięcej czasu zajmą elementarze.

— Naturalnie, Promyku!

— A przyroda? — odzywa się Basia, mistrzyni w tych rzeczach. Już wiem, pójdziemy z dziećmi w pole i pogwarzymy o wszystkiem, co nas otacza. Obawiam się tylko, że często będą one mogły powiedzieć więcej, niż my.

— One będą nas także uczyły!

— Kiedy tak — zakończyła gawędę Hanka — to ja idę w pole zobaczyć, jak tam idzie robota.

— Haneczko, weź nas za ordynansów — prosiła Irka i Promyk, jużeśmy wszystko skończyły!

— Dobrze, kochanie, a wy? — zwróciła się plutonowa do pozostałych dziewcząt.

— My jeszcze wykończymy, a potem prześpiewamy nową pieść, którą w niedzielę będziemy śpiewały w kościele.

— A więc dobrze, tylko nie spóźnijcie się na zbiórkę!

— Jużto — przerwała chwilowe milczenie Basia — trzeba przyznać, że szarże nam się udały, jedna w drugą.

— Najcudniejsze jest to — mówiła Rysia, patrząc na fale wodne, mieniące się w blaskach zachodu — że nareszcie zdobyłam wewnętrzne zadowolenie, wiem, po co i dla kogo żyję, a to sprawiły tylko kolonje.

— O tak! — kończyła jej myśl Wanda — umieć służyć innym, to naprawdę największa sztuka i największa radość, a tego i mnie nauczyły tylko kolonje.

---

— Czy macie, co do powiedzenia, dziewczęta? — pytała Hanka, obchodząc wieczorem na dobranoc posłania swych dziewcząt.

— To, Hanuś — odparła półgłosem Rysia, zarzucając jej ręce na szyję — że dziś był najmilszy dzień na kolonjach! Zobaczyłyśmy, jak wiele możemy zrobić i ile to dobrego zostanie w tej wsi po nas i pewno dlatego tak jakoś świątecznie jest naokoło nas!

— My także, Rysiu, obie z Zosią widzimy, że wam tu jest dobrze, że stajecie się dziewczętami, na których pracy można polegać.

— A wiecie, że Zosia przywiezie nam jeszcze jedną dziewczynę?

— Tak? czy ją znamy? Kto to jest? Hanko, czy to jest tajemnica?

— Ależ nie i nawet chcę, żebyście się przygotowały na jej przyjęcie. Jest to Tola S., która miała bardzo przykre warunki w domu i tem można tłumaczyć jej zmęczenie i zniechęcenie. Uważałyśmy z Zosią, że wy jesteście już tak silne wewnętrznie, że nietylko nie osłabniecie przy Toli, ale przeciwnie, będziecie mogły stworzyć atmosferę, w której ona odzyska siły i energję, prawda?

— Tak, to będzie jeszcze jeden kolonijny obowiązek, ale bądźcie pewne, że jej tu będzie dobrze z nami — odparła za wszystkie Jasia.

— Hanko, rozległ się szept Irki — zdaje się, że Promyk płacze.

— Promyku, co ci jest kochanie? Heluś, czyś nie chora?

— Ach, Hanko, już nawet nie mów ze mną... wy na nas tak polegacie, a ja nawet nie zapominać nie mogę — wysapał przytłumiony głosik z pod rozwichrzonej czupryny i słowom tym towarzyszyło głośne chlipnięcie.

*J. K.*

□□□□□□□□

## Z OBOZU STAŁEGO W URLACH.

Śmiało powiedzieć można, że nic tak dodatnio nie wpływa na wyrobienie harcerza, zarówno moralne jak i fizyczne, jak przebywanie jego przez czas dłuższy w obozie stałym. Żadne ćwiczenia, które odbywają się zwykle parę razy na miesiąc, nie wyrobią w chłopcu tego, czego dokona pobyt codzienny w zespole w harcerskim.

Tam uczy się chłopca tego wszystkiego, czego mu w życiu bardzo będzie potrzeba.

Zaledwie słońce wejdzie na firmament niebieski i zbudzi przyrodę do życia, w obozie gra trąbka. Pobudka! Wstawać—bez zwłoki! Niedługo zbiórka, a na nią stawić się trzeba. I wnet pod niebiosa wzbija się pieśń potężna: „Kiedy ranne wstają rorze!"

Pokrzepiwszy korną modlitwą duszę, spieszą chłopcy krzepić ciało racjonalnie prowadzoną gimnastyką, idą rozprostować kości i pełną piersią zaczerpnąć wiejskiego powietrza.

A potem śniadanie, pracą rąk własnych zwarzone.

Niebawem chłopcy wyruszają na ćwiczenia lub, jeśli czas słotny, słuchają gawęd ciekawych. I tak wśród lasów sosnowych, na łonie przyrody dzień cały mija. A wszędzie zgoda, porządek, ochota do pracy, zżycie się wzajemne.

A gdy zmrok zapadnie, znowu słychać pieśni dokoła ogniska i po zamyślonych obliczach, po oczach utkwionych w dal widać, że pieśni owe to nie puste słowa, że nie brzmią one bez echa, ale oddźwięk znajdują w młodzieńczych sercach.

A kiedy cisza nastanie w obozie, gdzieniegdzie tylko ozwie się wartownik, co czuwa nocą, aby jego bracia mogli do świtu wypocząć spokojnie.

Bo świt niedługo!

*S. Prószyński.*

□□□□□□□□

# Kolonje w Laskach.

Pamiętne to były wakacje 1914 r. Cały mój zastęp był u nas w Laskach na kolonjach. Dzień cały spędzałyśmy w ogrodzie, przy pracy lub w lesie. Raz, pamiętam, leżymy na mchu, pożywiając się uzbieranemi poziomkami, gdy odezwała się Jula:

— Wiesz, Wando, że wartoby coś zrobić.

Jula zwykła w ten sposób wyrażać swe najmędrsze projekty.

— Ja też myślę, że trzebaby zająć się jakąś robotą, bo taka bezplanowa włóczęga nic nam nie daje.

— Lecz niemniej przeto jest przyjemna; ja bo przynajmniej mam jakieś cygańskie upodobanie — rzekła Iza.

— Ależ możemy się włóczyć, tylko przytym badać przyrodę okolicy, zagospodarowanie ludności, zwiedzać szkółki i t. p.

— Wiesz, że to świetny pomysł! Ja, jako przyszły doktór na prowincji, zajmę się hygieną — wykrzyknęła Marysia.

— My, zdaje się, wszystkie chcemy w przyszłości pracować na wsi, dlatego też trzeba ją poznać.

Długo jeszcze omawiałyśmy ten projekt i nazajutrz zaczęłyśmy naszą wędrówkę od wsi do wsi, od chaty do chaty.

Dowiaduję się raz, że w sąsiednim dworze mają spuszczać stawy i zapraszają nas na dwa dni. Mamusia pozwala — cudownie. Nie mówię nic dziewczętom, będąc ciekawą, jak się uda ten nocny alarm. O trzeciej budzę śpiącą najbliżej mnie, Julę, mówiąc: „Za pół godziny wyruszamy do Rudy, weź ze sobą wszystko, co potrzebne na dwa dni". Jula spogląda zdziwiona z tak zaspaną miną, że parsknęłam śmiechem. Widząc jednak, że rozumie o co chodzi, zabieram się do budzenia innych. Ciężkie to było i niewdzięczne zadanie! Iza nawymyślała mi, że budzę w nocy porządnych ludzi i, obróciwszy się na drugi bok, zasnęła. Gdy już wreszcie wszystkie były gotowe, wyruszyłyśmy z domu, idąc jak najciszej, by nie budzić nikogo. Gwiazdy już znikły i naokół było szaro, bo słońce jeszcze nie wzeszło. Rosa była taka, że myślałyśmy, że to deszcz w nocy padał. Do Rudy przybyłyśmy na 4-ą. Spuszczanie stawów bardzo ciekawie wyglądało. Szluzy zastawiono sieciami i otworzono; woda spadała z drugiej strony ładną kaskadą. Zabawnie wyglądał ten niepokój ryb, które zbierały się wszystkie w najgłębszym miejscu, byle tylko być w wodzie. A było ryb tyle, że można ręką łapać.

Po skończeniu łowów zaprowadzono nas do dworu na śniadanie i cały dzień spędziłyśmy w miłym otoczeniu rudowskiego dworu.

Nocować mamy w stodole na sianie, to dopiero rozkosz!

Wchodzę pierwsza po drabinie z latarką elektryczną, aby zbadać miejsce, gdy przewracam się o coś miękkiego, co zaczyna przeraźliwie piszczeć. To Iza chciała się przekonać, czy spanie będzie wygodne i weszła pierwsza. Układamy się wreszcie z wielkiemi przygodami. Marysia najspokojniej zamiast na plecaku położyła głowę na moich nogach i jest przerażona, że plecak sam się rusza. Iza jest tak śpiąca, że położyła Zosi buty pod głowę i nakrywszy się kołdrą, a nogi założywszy Jance na głowę zasypia w pół minuty. Rano za to straszna rozpacz: nie można znaleźć swoich butów, nawet koców. Gdy wreszcie już ubrane mamy śpiewać modlitwę, ukazuje się nad drabiną zaspana i przerażona twarz Staszki. We włosach ma pełno siana, w ręku jeden but, a drugiego, który miała na nodze, szuka zawzięcie, przewracając siano.

— Oj Staszko, Staszko! możesz dostać patent na spostrzegawczość i czujność; przespałaś już dwie trąbki.

W dziesięć minut później czyniłyśmy już spustoszenie w rudowskiej spiżarni, korzystając z uprzejmej gościnności gospodyni. Przed wieczorem wróciłyśmy do domu.

— No, dziewczyny! — zawołałam pewnego dnia, wchodząc do pokoju — zgadnijcie, dokąd idziemy jutro?

— Pewno do młyna, albo na ryby, albo na jarmark!

— A widzicie, że nie; idziemy pomagać przy żniwach!

— Wiwat! Wspaniale! Dziewczyny skakały z radości.

— Teraz pójdziemy do Antoniowej zanieść książki jej chłopcu, bo już pewno tamte przeczytał.

W chacie zastajemy nieład, a Antoniowa siedzi koło tapczanu, gdzie leży czteroletnie dziecko. Marysia podbiegła do niej.

— Co się Kasi stało?

— Abo to ja wiem, siedziała se na słońcu w ogrodzie, ta i mówi, że mu źle. Dałam mu na poty i okryłam pierzyną; niech se śpi!

— Ależ to źle, bo dziecko napewno z tego gorąca choruje.

— E, panienko, a widział to kto, żeby ludzie od słońca chorowali?

Bardzo się też Antoniowa dziwiła, gdyśmy Kasię wyniosły z dusznej izby w cień do sadu, dały jej pić i zrobiły zimne okłady na głowę. W godzinę jednak dziecko bawiło się wesoło.

Zaczął się okres żniw. Spędzałyśmy prawie całe dnie w polu, podbierając żyto za kosiarzem.

Przychodzi pierwszy sierpnia; zwózka już na ukończeniu i wszyscy cieszą się myślą o dożynkach. Tego dnia, pamiętam, kończymy właśnie obiad, gdy wpada parobek Stach, wołając na ekonoma: „Proszę pana, burza idzie; trza zwieźć wszystko dzisiaj!"

— To i my się pewnie przydamy?

— A niech panienki idom, ino ja nie będę czekał z wozem.

— No, dziewczyny, biegiem harcerskim na pole!

Biegniemy przez wieś pustą prawie, bo wszyscy w polu, gdy naraz z końca zastępu słyszę sygnał: „Stój!”.

— Co się stało?

— Patrzcie, tam na lewo dym jakiś!

Biegniemy w tym kierunku i widzimy, że z jednej chaty wydobywa się przez okna dym i płomienie. Wpadam do chaty: od węgli, co wypadły z komina, zajął się leżący chróst, a od niego sprzęty. Na palącym się już tapczanie dwuletni dzieciak wrzeszczy w niebogłosy. Chwytam stojące wiadro wody, oblewam nim dziecko i wynoszę z chaty.

— Dziewczyny, stawajcie sznurem do sadzawki! wody jak najwięcej! Przy stodole stoi drabina, chwytam ją, opieram o dach chaty, bo płomienie dopiero ogarnęły dom wewnątrz, i przez otwór w strychu zlewam palące się ściany. Janka tymczasem wysyła dzieciaki z sąsiednich chat po wiadra. Wody nie braknie, a innego ratunku nie mamy. Słychać wciąż straszny syk i dym tak mnie gryzie w oczy, ze zeskakuję z drabiny, ale na szczęście ogień coraz mniejszy. Dziewczęta czerwone, zgrzane, pracują bez wytchnienia. Wreszcie płomieni już nie widać: ogień ugaszony! —No teraz trzeba będzie wziąć tę rodzinę do czworaków, zanim chatę naprawią. — O patrzcie! mamusia idzie na szczęście, ona zaradzi wszystkiemu.—Zostawiłyśmy mamusię, czekającą na powrót gospodarstwa z pola i pobiegłyśmy do domu odpocząć, umyć się i przebrać.

Wieczorem powędrowałyśmy za dom, na skraj lasu, by tam czytać przy ognisku „Echa leśne”. Dziwne, niezatarte wrażenie robi ta książka, czytana w lesie, przy ognisku. Skończywszy, pogrążyłyśmy się w głęboką zadumę, z której wyrwał nas głos ojca, nadjeżdżającego bryczką z Lubartowa.

— Dziewczęta, dziewczęta, wojna wypowiedziana.

Nie umiem opisać wrażenia, jakie wywołały te słowa. „Co wojna?” „To niemożliwe!” „Jak?” „Kiedy?” „Czy Austrja, czy Niemcy wypowiedziały Rosji?” Tatuś wyjaśnił wszystko, ale nam się to zupełnie w głowie zmieścić się nie chciało. Długo jeszcze mówiłyśmy o tej wojnie, pytając siebie wzajem, co ona nam przyniesie.

Smutne dni nastały teraz dla wszystkich, a najsmutniejsze były chwile mobilizacji. Kobiety płakały, żegnając swych mężów, a w chatach panował nieład i opuszczenie. Myśmy pracowały ze zdwojoną energją, szyjąc bieliznę dla rekrutów i pomagając kobietom w gospodarstwie. Trzeba było wnosić ze sobą wszędzie pogodę i wesołość, bo wieś cała miała wygląd tak smutny, że przykro było przez nią przechodzić.

Wreszcie zbliżyła się chwila odjazdu. Pewnego wieczoru poszłyśmy na skraj lasu, by tam czytać „Kryjaki”. Smolne gałęzie paliły się z trzaskiem i rzucały blaski na twarze siedzących.

— Pamiętacie, jakeśmy czytały „Echa leśne? Mam jakieś przeczucie dziwne, że i dziś się coś stanie.

— E, wątpię, no ale czytajmy dalej!

Wtym słychać turkot i zdala widzimy jakąś bryczkę.

— Co, nie mówiłam, ktoś przyjeżdża! Kto to być może? Jakaś pani w dodatku!

— Patrzcie! zatrzymuje bryczkę, widać nas spostrzegła! Idzie do nas!

— Ach, to Hanka, nasza drużynowa! Skąd się wzięła w Królestwie?

Zrywamy się wszystkie i biegniemy. „Hanko czuwaj!” „Witajcie dziewczyny!” „Skąd się tu wzięłaś? Kiedyś przyjechała?” Przez chwilę nic innego słychać nie było.

— Skąd się wzięłam? — bardzo proste: udało mi się przedostać przez linję bitw do Lublina, a stamtąd przyjeżdżam do was.

— Ależ opowiadaj, co słychać w Krakowie, czy to prawda, co mówią o jakichś strzelcach?

— Prawda najzupełniejsza; wszystko wam opowiem.

Zdaje mi się, że widzę jeszcze, jak Hanka siedzi przy ognisku, a my słuchamy jej opowiadania. A mówi ona rzeczy tak dziwne, że nam się wierzyć nie chce. Mówi, że tam pod Kielcami wojsko polskie odbiera piędź po piędzi naszej ziemi Moskalom, że zapał ogarnia wszystkich ludzi i coraz więcej ich przywdziewa szary mundur, by wygnać z kraju najeźdźców. Nie mogę uwierzyć, że Hanka, która siedzi tu z nami, widziała na własne oczy polskie wojsko, rozmawiała z tym, co ideę Niepodległości wskrzesił i w czyn zamienił, widziała, jak w noc księżycową zajechał przed koszary pierwszy ułan polski i jak potem wyruszała z Krakowa pierwsza kadrowa kompanja...

— A my mamy wrócić do Warszawy i czekać jeszcze długo może, zanim ujrzymy naszych żołnierzy... Teraz więc dziewczyny trzeba się zabrać do pracy zdwojonej, za siebie i za tych, co poszli bić się za Sprawę.

Padła komenda: Baczność! Rota! Teraz śpiewając, czułyśmy, że zadanie nasze określone, że mu podołamy! Tak nam dopomóż Bóg!

*W.*

## BUDKI DLA PTAKÓW DROBNYCH.

Na małych blizkich wycieczkach w okolice podmiejskie jest pole dla nas, harcerzy, do zaszczepienia wśród ludu dla idei harcerstwa umiłowania i do wprowadzenia w życie naszych haseł. Kochasz naturę, bądź opiekunem całego życia na ziemi twojej. Widzieliście pewnie, przysłuchiwaliście się nieraz z przyjemnością na wycieczkach miłym, wciąż powtarzanym pieśniom ziemb, słowików.

A czy zatroszczyliście się kiedy o to, czy mają one gdzie swe gniazda wić? Często niema już gęstych

drzew, gdzieby mogły się wygodnie oddać pielęgnowaniu młodych.

.... Pamiętam, jak jeden z dowcipniejszych zastępowych, z nadchodzącą wiosną, poddał swemu zastępowi myśl robienia z deszczułek budek dla drobnych ptaków na drzewa, tak zresztą pożytecznych. Rzecz prosta, przytem tania. To też wielu z jego chłopców już na najbliższą wycieczkę przyniosło własnoręcznie zrobione budki, przyszłe gniazdka. Ucieszony zastępowy, jak i cały zastęp zaraz w pierwszej wiosce poprosili chłopów o pozwolenie na zawieszenie w sadach, na drzewach przyniesionych budek. Chłopi w pierwszej chwili nie pozwolili im i dopiero po dłuższych prośbach i wytłumaczeniu o pożytku z ptasząt, które tam będą mieszkać, i że to zupełnie bezinteresownie, za darmo chcą owe gniazdka umieścić, zgodzili się, obojętnie mówiąc: — ,,kiejta panocki chcecie, to i wiesojcie''.

Ucieszeni tem harcerze prędko zaczęli umieszczać budki, pnąc się po drzewach i tylko chłopi rozbawieni już szczęściem harcerzy, zwracali uwagę, by drzewa nie poobijali okutem obuwiem lub nie stawali na cienkich gałęziach. A drudzy harcerze w duchu przyrzekali sobie, że na przyszłą wycieczkę to i oni umieszczą swoje budki.

Jakże wesoło spędzili tę wycieczkę i ćwiczenia; jeszcze wracając do domu spoglądali na swoje budki, czyniąc uwagi, czy która nie wisi za skośno, lub czy są mocno umocowane. Długo jeszcze oglądali się, żegnając oczami przyszłe mieszkanka pożytecznych ptasząt.

.... W jakiś czas znów ów zastęp ćwiczył się w okolicy tej wioski. Do niej po ćwiczeniach wstąpili harcerze i jakże się ucieszyli, oto sady rozbrzmiewały śpiewem, a z okienek budek wystawały żółte dzióbki młodych piskląt, którym co chwila coś znosiły ich rodzice. Ale nie koniec na tem, bo prócz miłego widoku, jeszcze i chłopi, którzy im drogę zastąpili, dziękowali im i przepraszali, że im poprzednio nie chcieli zezwolić na umieszczenie gniazdek.

Wtedy nastąpiło zaprzyjaźnienie się harcerzy z ludem, który prosił ich o częste odwiedzanie, przynoszenie przeczytanych gazet, a w zamian obdarzał ich ,,kwaśnem'' lub chlebem z masłem.

Chłopi, odprowadzając harcerzy poza wieś, wskazywali na wiele budek, które już sami, widząc ich dobrodziejstwo, poprzybijali.

Odtąd najmilszą wioską i okolicą dla tego zastępu, była ta wieś, w której sadach wisiały harcerskiej roboty drewniane gniazdka.

— A czy wiele, w naszej Polsce mamy sadów, w których ptaki, tępiące gąsiennice i inne szkodniki, znajdują już gotowe gniazdka? Jeszcze są tacy, co im je niszczą, rozbijają jajka lub młode wykradają. Do pracy braci harcerska i ,,Czuwaj'' nad pomocnikami twymi, ptakami w sadach!

*Franek z Krakowa.*

---

# TROPIENIE.

## TROPIENIE STOPY OBUWIA.

Rozpoczynając ćwiczenia, harcerze na pierwszej lekcji muszą się nauczyć odróżniać odciski stopy po wielkości, kształcie i gwoździach buta. Zastęp dobrze bardzo zrobi, jeżeli dla wprawy usiądzie kołem a każdy z jego członków podniesie nogę tak, żeby mogli wzajemnie odrysować swoje buty. W takim rysunku trzeba starannie zaznaczyć każdą cechę odróżniającą, jak np. brak gwoździ, ścięte obcasy i t. p. Dobrze też jest zaznaczyć długość buta.

Poczem każdy harcerz przejdzie pokryjomu przez kawałek gruntu odpowiednio przygotowany, zwilżony i ubity, i następnie będzie próbował rozpoznać ślad, przez porównanie z rysunkami, jakie trzyma w ręku. W miarę nabywania wprawy, można się obyć bez rysunków, a harcerze powoływani bywają do osądzenia odnośnych śladów po jednokrotnem obejrzeniu obuwia członków zastępu.

---

Osiągnąwszy już wprawę w tym względzie, możemy teraz spróbować tropić na pewnej przestrzeni drogi piaszczystej lub błonistej, dobrze odciśnięty ślad obuwia.

Oto kilka punktów, na które należy zwracać uwagę, a mianowicie na:

1) Miarę stopy mężczyzny śledzonego, t. j. długość i szerokość.

2) Gwoździe na podeszwach, ich kształt, obcasy i t. d.

3) Długość kroku mężczyzny śledzonego.

---

Mając już ślad pewny i dążąc tym tropem, radzibyśmy wiedzieć, czy mężczyzna przez nas śledzony dąży naprzód biegiem, co znaczyłoby, że oddala się od nas coraz bardziej, czy też idzie powoli, a w tym wypadku prześcigniemy go prawdopodobnie. Można się o tem przekonać bardzo łatwo — idąc bowiem, człowiek stawia całą stopę na płask, a nogi oddalone są od siebie blizko o 3 stopy, gdy człowiek biegnący wciska głębiej palce stopy w ziemię i podrzuca błoto, albowiem nogi są rozstawione w biegu więcej niż na 3 stopy.

Nadto, chcąc mieć pojęcie w przeciągu mniej więcej jakiego czasu możemy dogonić śledzonego, radzibyśmy się dowiedzieć, czy pozostawiając ślady, którymi się kierujemy, był rzeźki lub też wyczerpany. I tutaj wytrwanym tropieniem ślad sam da wszelkie wskazówki, jakich pragniemy. Jeżeli człowiek śledzony był rzeźki i w dobrym nastroju, odciski wskazują krok długi, prawidowy, dobrze określony, jeżeli zaś człowiek był wyczerpany, ślady są nieregularne i często wyglądają, jakgdyby się zataczał.

A teraz przypuśćmy, że człowiek śledzony jest złodziejem, który umknął z bogatym łupem i że pra-

gniemy bardzo dowiedzieć się, czy niesie jeszcze swoją zdobycz, czy ją już sprzedał. Jakże dowiemy się o tem? I to również, jakkolwiek zrazu wydaje się zawiłe, jest ostatecznie bardzo proste; wielki ciężar, umieszczony na plecach, sprawia, że palce stopy zginają się na wewnątrz, zaś prędzej czy później, ciężar zacznie dokuczać i ślady zaczynają być chwiejne. Nadto, jeśli przyjrzymy się bacznie ziemi na najbliższym przystanku, znajdziemy prawdopodobnie znak na miejscu, gdzie złożony był kosz lub worek. Jakkolwiek te drobne zagadnienia wydają się zrazu bardzo trudne, przekonywamy się niebawem, że rozstrzygnięcie ich jest niezmiernie łatwe i istotnie wymaga tylko trochę namysłu.

Dotychczas mówiliśmy jedynie o tropieniu mężczyzny, ale zdarzyć się może, iż musimy śledzić trop kobietę lub dziecko i trzeba wiedzieć, jak taki trop odróżnić. Krok w tym wypadku będzie krótszy, a ślad mniejszy. — W krajach cywilizowanych odcisk obcasa w razie, jeżeli chodzi o kobietę, będzie daleko wyraźniejszy.

---

Jako doskonały przykład, w jaki sposób można wytropić, kierując się śladami obuwia, niechaj posłuży następująca opowieść o policjancie południowo-afrykańskim, wydrukowana w piśmie „Scout".

„Z trzody, należącej do farmera, zginął pewnego dnia kozioł i jagnię. Łeb kozła i jagnię z poderzniętem gardłem znaleziono o wiorstę od farmy, a różne oznaki wskazywały, że zwierzęta zostały w tem właśnie miejscu zabite. Posłano po policję i jeden z policjantów, Jan Stolz, zbadawszy to miejsce, znalazł odciski stóp. Wykazywały one, że był tam człowiek w butach, z których jeden był podzelowany i łatany. Policjant szedł za tym śladem przeszło pięć wiorst i ostatecznie znalazł mężczyznę w takich butach. Oskarżony o przestępstwo powyższe, przyznał się do winy i został skazany na dwanaście miesięcy więzienia."

---

Harcerz powinien też umieć wskazać różnicę między śladem mężczyzny, chodzącego stale w butach i mężczyzny bosego. Zazwyczaj u ludzi przywykłych do chodzenia boso bez obuwia, jak marynarze, dzicy i t. d., duży palec u nogi odstaje, gdy u noszących obuwie, palec ten jest ściśle złączony z innymi.

## TROP ROWERÓW i SAMOCHODÓW.

Śledzenie tropu rowerów lub samochodów nie przedstawia oczywiście wielkich trudności, zwłaszcza jeżeli mają opony odrębnego typu, ale z drugiej strony, jestto doskonałe ćwiczenie wstępne dla harcerzy, a ponieważ zarówno samochód, jak i rower jest rzeczą zwykłą, przeto harcerze umogą się w to ćwiczenie wprawiać ilekroć wyjdą na przechadzkę.

Jedynym punktem w tropieniu rowerów i samochodów, co do którego harcerze bywają niezbyt pewni, jest określanie kierunku, w jakim samochód czy rower dąży. W pierwszym wypadku jednakże, jeśli opony są nabijane stalą, odrzucają często grudki piasku i t. d., wjeżdżając na pochyłość, co odrazu dostarcza potrzebnych wskazówek. W razie lekkiego zboczenia z drogi, pośliźgnięcie następuje w kole tylnem i to raczej w tym kierunku, w jakim samochód dąży. Kamienie, odrzucane przez samochód, również są cenną wskazówką, gdyż koło posuwa kamień naprzód, a następnie, gdy po nim przejdzie, odrzuca go w tył.

Kierunek roweru może być stwierdzony w każdem miejscu, gdzie jeździec wykona mały zwrot lub zakręt. Przy wykonywaniu nagłego zwrotu, koło przednie zakreśla zwykle większą krzywiznę, niż koło tylne, które nosi znaczniejszy ciężar. Koło przednie nadto zakreśla większą krzywiznę, robiąc zwrot, niż powracając do właściwego kierunku.

## TROP WOZÓW.

Tropienie wozów jest, oczywiście, bardzo łatwe tam, gdzie grunt jest zupełnie miękki, ale nieco trudniejsze na trawie, lub na gruncie twardym. W przypadku pierwszym dość spojrzeć, żeby zauważyć, że tam, gdzie trawa położyła się pod kołami, pozostała taką i w pełnem świetle słonecznem jest nawet innego koloru, niż trawa niezgnieciona przez koła. Ta barwa i pochylenie trawy pozostaje często przez czas długi, dopóki nie nadejdzie wicher lub deszcz.

Tropiąc wóz, który przejeżdżał przez grunt twardy, należy szukać wykopanych nor zwierzęcych, na których pozostaną zawsze ślady kół lub odcisk kopyta; tak samo, przechodząc przez grunt skalisty, szukać trzeba kamieni porozrzucanych lub głazów mchem porośniętych. Jeżeli mech jest zgnieciony lub oderwany, znak to niezawodny, iż wóz, którego szukamy, przejeżdżał tą drogą.

Śledząc wóz, trzeba bacznie patrzeć na ziemię po obu stronach, albowiem może woźnica zesiadł i szedł obok wozu, a niedopałek papierosa lub kawałek porzuconego papieru może dać mnóstwo wskazówek. Nie należy też nigdy zapominać, że osoba siedząca na wozie i rzucająca jakiś przedmiot, będzie zawsze rzucała na prawo albo na lewo, zazwyczaj jednak na prawo.

Przy śledzeniu tropu wozu może się okazać potrzeba pewnych wiadomości o tym wozie, a nie jestto nic trudnego, jeżeli harcerze znają typ wozów, używanych w danej okolicy. Wozy naładowane wyżłobią oczywiście daleko głębszy odcisk, niż te same wozy bez ładunku, najgłębsze, odciski zaś żłobią harmaty. Ślady wozu dwukonnego równają się prawie śladom wozu wojskowego, jakkolwiek ślady koła pojedyńczego są w ostatnim wypadku zazwyczaj daleko szersze.

Harcerze, którzy zechcą zrobić i zachować notatkę, dotyczącą szerokości śladów koła pojedyńcze-

go, wyżłobionych przez rozmaire typy wehikułów w danej okolicy, zadecydują odrazu bez trudności, do jakiej klasy należy trop, który śledzą.

Nie należy też zapominać, tropiąc wóz, że trzeba pilnie rozglądać się wzdłuż śladów, czy też nie spadło z wozu coś, co może dać wskazówkę jaką jest jego zawartość. Jeżeli np. naładowany jest paszą, to niebawem dowiadujemy się o tem.

# Dział biszkoptowy.

## WIOSNA.

Wraca wiosna znów radosna
I uroczy wraca czas,
Na trzydniówkę, na majówkę
Drużynowy wiedzie nas!

Wszyscy wiemy, że będziemy
Mieć radości wielką moc:
Harce, pienia i ćwiczenia,
Warty przez calutką noc.

Więc wesoło ognia wkoło
Piosnka nasza niechaj brzmi,
A płomienny żar wiosenny
W sercach naszych niech się tli!

(na nutę „Dalej bracia do bułata").

## PIEŚŃ ZASTĘPU INTROLIGATORÓW.

Dalej, bracie, do roboty,
Książkę do oprawy masz,
Na bok żarty, na bok psoty,
Niech wre praca, hymn brzmi nasz.

Na arkusze książkę całą
Najpierw rozbierz, oczyść ją;
Z obu stron wstaw kartę białą,
Piękniej bowiem będzie z nią.

Natnij żłobków pięć na grzbiecie
I na warsztat idź wnet szyć!
Pieśń się twoja dziwnie plecie,
W słońca blaskach miga nić...

Dalej, bracie, a wesoło:
Brzegi równo teraz zmierz
I obcinaj potem wkoło,
Najpierw wzdłuż, a potem wszerz.

Kiedy wreszcie zrobisz tyle,
Naklej znów tekturki dwie;
I do prasy włóż na chwilę,
Niech sprasuje dobrze się!

Potem papier znów na grzbiecie
Nieco twardszy mocno wklej,
A że książka twa schnie przecie,
Więc zaśpiewaj, więc się śmiej!

Skończ okładkę! Już gotowa!
Spójrz, jak księga pięknie lśni,
Jakby całkiem była nowa —
Więc radośnie pieśń niech brzmi!

Koniec pracy! koniec pienia!
Z piosnki tej sentencja ta:
Pracę ludzką ten ocenia,
Kto tej pracy wartość zna!

*S. Prószyński.*

## BAJKA.

Pewien Plecak, w jasnym słońcu,
grzejąc swe paski i sprzączki,
milczał długo, — kiedy wkońcu
Jakby w ataku gorączki przemówił...
wyliczał swoje przedziwne zalety,
twierdząc, że Harcerz najwięcej go ceni.
Przerwal mu Gwizdek, wołając: —„Niestety",
Tyś jeszcze młody, lecz sąd twój się zmieni,
poznasz, żeć cenią, póki kąsek tłusty
ukrywasz w sobie, gardzą kiedyś pusty!" —

*Wł. Ruszkowski.*

## KĄCIK HUMORU.

### PRZYPADKI HARCERSKIE.

Ciemność, że nie sposób nic rozeznać — nawet odróżnić drzwi z sionki do izby.

Cisza — cały zastęp śpi smacznie w przyległej izbie na rozesłanym grubo sianie, a Jaś Fajtłapski — stojąc na warcie w sionce — też... zasypia.

Lecz... zbudził się, przeciera oczy — ciemność; nastawia uszu — jakiś podejrzany odgłos. Jakgdyby ktoś szedł — jakgdyby odgłos butów po podłodze. Ojoj!

Najwyraźniej kroki.

„Kto idzie?" — rzuca wartownik odważnie, lecz pełen lęku.

Milczenie. Znów to stukanie butów rozlega się w ciemności, wyraźnie zbliża się.

Drżący Jaś przeraźliwie gwiżdże.

Wypada z izby zastępowy — nagłym światłem latarki elektrycznej oświeca drżącego Jasia Fajtłapskiego — oraz na dwa kroki przed nim leżący dziwny kulisty przedmiot, nadziany igłami.

Jeż! *Edward Muszalski.*

## DWUDNIÓWKA.

Wczoraj, idąc ulicą, ujrzałem swego przyjaciela, Stefka, powracającego z wycieczki z wielce strapioną miną. Po przywitaniu zwierzył mi się, że była to jego pierwsza „dwudniówka", że pierwszy raz w życiu miał nocną wartę, z której wywiązał się... oj, zadużo chciałem powiedzieć! Jak się wywiężał, to już tajemnica. Ostatecznie jestem gotów, wam ją wyjawić, żebyśmy sobie nie pomyśleli, że Stefek bardzo „spudłował".

Kiedyś, ucząc się konnej jazdy, słyszałem zdanie, że nikt się nie nauczy jeździć na koniu, dopóki z niego nie spadnie. To wielka prawda! Również nikt nie stanie się dobrym harcerzem, bez tego, żeby choć raz nie zabłądził, nie zrobił choć jednego fałszywego alarmu i t. d. Pamiętajcie to sobie, moi przyjaciele i jeżeli czasem „spudłujecie", to nie bierzcie tego tak bardzo do serca.

Pamiętam, gdym stał pierwszy raz na warcie, to zęby szczękały mi przeraźliwie i co chwila spoglądałem na zegarek, czy czasami nie przyjdzie mu ochota zrobić kwandransa w ciągu minuty. Na domiar złego wicher wył przereźliwie i deszcz lał jak z cebra. Otuliwszy się w pelerynę usiadłem na zwalonym przez burzę pniu i dla odpędzenia ponurych myśli począłem liczyć szybkie uderzenia swego serca, które łomotało szybko z taką siłą, z jaką wali do bramy spóźniony lokator. Jak długo siedziałem, nie pamiętam, dość, że nagle ujrzałem przed sobą jakieś dwie postacie. Struchlałem i pot zimny wystąpił mi na czoło... Tymczasem tajemnicze postacie zarzuciły mi na głowę jakiś worek i poczęły wlec ze sobą. Próbowałem się bronić, lecz próżne były moje wysiłki, nie mogłem wykonać najmniejszego ruchu. Po chwili usłyszałem, że niosą mnie po jakimś pokładzie — był to most. Stawiają na poręczy i nagle—buch! spychają mnie w wodę. Plusk i naraz... budzę się i cóż widzę? Oto leżę w kałuży po pas: widocznie zasnąwszy, stoczyłem się z pnia na ziemię... Spojrzałem na zegarek; czwarta! Ładna historja,—przespałem wartę!

Stefek również miał podobną przygodę, z tą tylko różnicą, że on przespał sobie błogo całą noc, tak że już nikt po nim stać nie potrzebował.

Oto powód, dla którego Stefek był tak bardzo strapiony, lecz obecnie już jest zupełnie pogodny, jak mu nakazuje ósme Prawo Harcerskie, serdecznie tcż śmiejemy się z jego własnej przygody.

*Jan Kazimierz.*

## JAK BISZKOPTY PŁYNĘŁY DO KRAKOWA?

Dziwnie jakoś ten tytuł wygląda, ale wam zaręczam, że nie było w tej wycieczce nic nadzwyczajnego; ot płynęły sobie biszkopty wraz z trzecim mostem do Krakowa.

Było to tak: w ładną niedzielę majową poszedł cały zastęp na most Poniatowskiego i gdy dziewczyny chwilę popatrzyły na wodę, pochyliwszy się nad poręczą, zauważyły, że Wisła stoi, a one płyną. Jak to przyjemnie płynąć! A dokąd? Choćby do samego Krakowa.

— Świetnie, powiemy wszystkim, żeśmy były dzisiaj w Krakowie.

— A jeżeli się kto spyta, jak Kraków wygląda?

— No to czekajcie, opowiemy sobie, jak to wyglądają brzegi Wisły w drodze do Krakowa. Spójrzcie przed siebie, płyniemy przez Mazowsze. Brzegi Wisły nizkie, lewy tylko wyższy nieco.

— Ale ja nie wiem, który to lewy brzeg.

— Obróć się w tę stronę, w którą woda płynie, a po lewej ręce będziesz miała lewy brzeg.

Brzegi Wisły tutaj piaszczyste przeważnie, ale ot, tam patrzcie, porosłe wikliną.

— A tak, ja wiem, szłam kiedyś przez tę gęstwę wikliny. Jak to przyjemnie przedzierać się przez krzaki, a naokoło mnie zielono i zielono.

— A widzicie tam taką, jakby wyspę, wązkim pasem wody oddzieloną od brzegu? To kępa wiślana, a ten pas wody, to łacha. Wisła przez Mazowsze płynie wolno dosyć, rozlewa się po nizkich brzegach i tworzy wszędzie kępy, łachy, ostrowy.

— Ale spójrz Wando, jaki tam śliczny piasek, czy nie możemy tam iść?

— Ależ Halino, a podróż do Krakowa?

— Ach prawda, ale jak wrócimy, to tam pójdziemy; ja tak lubię piasek z nad Wisły!

— A widzisz i nie ty jedna; znasz przecież piosenkę:

„Pia, pia, białego, wiślanego!"

I ten piasek, to już taki nasz, kochany, mazowiecki, że z nas każdy chyba kocha wydmy piaszczyste i sosny, co na nich rosną.

— A wiesz Wando, ja czytałam, ale już nie pamiętam tego dobrze, że jak szwoleżerowie opuszczali Polskę, a zakonnice przysyłały im szkaplerze, to oni poszli nad Wisłę i zaszyli sobie w szkaplerzach trochę białego piasku. I wielu z tych, co ginęli pod Somo-Sierrą, mieli na piersiach garstkę ziemi ojczystej.

— A ja, jakbym wyjeżdżała z Polski, tobym zabrała sobie kawałek kory sosnowej, bo ja najlepiej lubię sosny.

— Oj ty mazurko! Ale patrzcie, jakie tam drzewa rosną?

— Olchy. Bardzo dużo nad brzegami rośnie olch, wierzb, osiczyn i brzóz.

— A widzicie, jak tam zielono, to zboże, żyto pewnie, bo pszenica na Mazowszu nie rośnie, chyba czasem w niektórych okolicach. Jęczmień i owies też rosną, ale nie tak ich dużo. Zato dużo na polach ziemniaków. Ale tam dalej coś się złoci, to łąki pokryte teraz kaczyńcami. Łąk na Mazowszu nie tyle, co lasów sosnowych, ale zawsze kwiatów na nich dużo.

No, a teraz jeszcze jedno, przyjrzyjcie się chatom wieśniaczym, ukryły się pośród kwitnących drzew owocowych, ale w lecie...

— Ja wiem, w lecie tak ślicznie wyglądają malwy i słoneczniki.

— Jabym tak zawsze chciała mieszkać w wiejskiej chacie!

— No, czekajcie, będziemy używać na kolonjach!

— O bocian! bocian! A jak ładnie leci!

— A tam pewno na jakiej chacie siedzi sobie w gnieździe pani bocianowa na jajkach. Kle, kle, kle!

— Ale Wando, strasznie długo płyniemy przez Mazowsze!

— I jeszcze nie koniec, bo oto widzicie, tam na lewym brzegu, na wzgórzu stare ruiny, to Czersk.

— Ach ja tam byłam w lecie w zeszłym roku.

— No, czekajcie, Kazia nam opowie, co widziała.

— Tam jest ślicznie, stoją poważnie baszty zamkowe, stare mury zamku i, wiecie co, ciągle mi się zdawało, że z wieży odezwie się trąbka, że podniosą most zwodzony i do zamku wjedzie książę mazocwiecki ze świtą, tak, jak to czytałam w jednej książce.

— Ja miałam to samo wrażenie, ciągle mi się zdawało, że żyję o kilkaset lat dawniej.

— Wando, a czy to prawda, że ludzie w każdej dzielnicy Polski mają inny charakter.

— A naturalnie, są wprawdzie wyjątki, ale tak ogólnie można powiedzieć. Warunki, otoczenie, klimat, to wszystko wpływa na charakter. No, a jak wam się zdaje, jacy są Mazurzy?

— Dziarscy, mężni, weseli, ale uparci i zacięci. Poczciwi są wszyscy, w miarę rozumni, ludzie „do wypitki i do wybitki". Najlepiej to widać w ich tańcu.

— Oj, ja tak lubię tańczyć mazura! Żebyśmy mogły być na dożynkach podczas kolonji, tobyśmy się wyhasały!

— No, a teraz już opuszczamy Mazowsze, zmienia się krajobraz; wjeżdżamy w Lubelskie. Brzegi Wisły wyższe, tworzą jakby strome ściany, pokryte przeważnie sadami.

— Jak to musi ślicznie wyglądać, kiedy drzewa kwitną, tak biało i różowo.

— Ale na jesieni musi być ładnie, jak owoce dojrzeją. Tam najwięcej jest zdaje się, śliwek?

— A tak i stamtąd właśnie płyną galary z owocami do Gdańska.

I pola też inaczej wyglądają, bo tu przeważnie rośnie pszenica. Ziemia urodzajna, szczególnie w sandomierskiem, to też sandomierska pszenica znana jest w całym kraju. A i lasy tu mamy inne, bo liściaste, dużo dębów, lip, buków, a nawet spotykają się i modrzewie.

— Aha, to pewno tutaj są te dworki modrzewiowe?

— A tak, dużo tu starych dworków, „w cieniu lipy utajonych", co się nam już znudziło, tyle razy musiałyśmy to śpiewać.

— A ja czytałam, że przed dworem Kochanowskiego stała taka lipa, którą on bardzo lubił i nawet wiersze o niej pisał.

— Ale ja byłam w Sandomierskiem, to tam wcale lasów niema.

— Tak. Sandomierskie całe, to olbrzymie łany pszenicy, lasy zaczynają się dopiero dalej.

— A jak się w Lubelskiem ubierają?

— Ja widziałam raz wieśniaczkę z Lubelskiego!— zawołała Hanka. Miała granatową spódnicę, amarantowemi wstążkami naszytą, granatowy kabacik, złotym i amarantowym przybrany, białą koszulę, barwne korale, amarantową chustkę na głowie, ale najładniejszy był fartuch w pasy różnokolorowe ze ślicznej przerabianej materji.

— I kobiety tam są bardzo ładne — przerwała jej Doda — przecież jeszcze Zagłoba mówi to w „Potopie".

— Tak, Lubelskie, choć nie tak dla nas miłe, jak Mazowsze, jest pod każdym względem ładną okolicą. Nawet język jest tam najładniejszy; mieszkańcy Lubelskiego ślicznie mówią po polsku.

— Wando, a czy tam niema żadnych ruin tak jak w Czersku.?

— Ależ są i niejedne. Przedewszystkim, jadąc, widzimy na prawym brzegu park olbrzymi, a poniżej nad łachą wiślaną śliczny pałacyk, to Puławy, rezydencja dawna książąt Czartoryskich.

Dalej, również na prawym brzegu Wisły, widzimy Kazimierz.

— Ja byłam w Kazimierzu!

— No, więc dobrze, Zosia opowie nam o Kazimierzu.

— Bardzo tam jest ładnie, ale brudno i tak, jakoś smutno. Nawet Wisła odsunęła się od Kazimierza, i przykro, że jest opuszczony, bo to śliczne miasto! Zdaleka tylko widać wysoką basztę; w tym lochu podobno zginął Maćko Borkowicz.

— No, a kto założył Kazimierz?

— Kazimierz Wielki i zbudował tam śpichrze. Teraz już mury się walą i tylko na wiosnę wyglądają ślicznie, bo są otoczone mnóstwem drzew owocowych.

Nawprost Kazimierza na górze stoją ruiny wspaniałego zamku, a u stóp wzgórza osada Janowiec. Ogrom tych zwalisk świadczy tylko jeszcze o potędze starej warowni.

— No, a była z was która w Zawichoście? Nie? To szkoda, bo i ja też nie byłam. Musimy sobie tylko wyobrazić, że tam jest bardzo ładnie: strome urwiska najdziwaczniejszych kształtów opadają ku Wiśle, a na przeciwległym brzegu rozciągają się pola i łąki. Zawichost to główny skład zboża, spławianego Wisłą.

No i wreszcie zbliżamy się do Sandomierza.

— To teraz można płynąć Wisłą, bo jak byłam przed wojną, to od Sandomierza nie było wolno.

— Widzisz, bo dawniej Wisła była granicą zaboru austryjackiego i rosyjskiego, ale teraz sądzę, że nam przepłynąć pozwolą.

— To ty Marychno, byłaś w Sandomierzu?

— Byłam, ale widziałam go tylko w środku. Najbardziej to mi się podobała katedra, ale ratusz i inne kościoły też są ładne. Tam jest bardzo dużo ogrodów i dlatego całe miasto ładnie wygląda, że tak zielono naokoło, a na dole Wisła płynie.

— No, już teraz jesteśmy w Krakowskiem. Zupełnie inny wygląd ma cała okolica, różna od Lubelskiego, a już do Mazowsza, to zupełnie niepodobna. Przedewszystkim, uderza nas czystość i wesołość w całym wyglądzie wsi krakowskiej. Zdala już widzimy schludne obejścia, drewniane chaty i ogródki.

— A co tam rośnie w ogródkach?

— Ja widziałam rutę, barwinek, miętę, macierzankę.

— Aha, to tam dziewczęta śpiewają pewnie:

„Siałam rutę, siałam miętę..."

— Jeśli nie tę piosenkę, to napewno jaką podobną, bo piosenek Krakowiacy dużo śpiewają. Wesoły to, i ochoczy lud! Taki szczery, pogodny, otwarty, jak i cała jasna, wesoła ziemia krakowska. Ale, gdy się Krakowiak na kogo rozgniewa, to „bij, zabij" na niego; prędko mu jednak ten gniew mija. A jak myślicie, czy krakowiacy dobrze się biją?

— A chyba, bo przecież pod Racławicami, to krakowiacy zwyciężyli!

— A prawda! Ja byłam na „Kościuszce pod Racławicami", to oni tam tak śpiewali: „Alboż my to jacy tacy".

— I ubrani byli tak ślicznie!

— O tak, ubiór to Krakowiacy mają śliczny, choć te Krakowianki, co się je w Warszawie widuje, zupełnie do prawdziwych niepodobne. A lubicie tańczyć krakowiaka?

— O jej! lubię bo taki skoczny i wesoły! Musimy się koniecznie wytańczyć na dożynkach!

— A powiedz nam, Wando, czy brzegi Wisły tutaj takie, jak w Lubelskiem?

— O nie, bo tutaj Wisła przerzyna się przez pokłady wapienne i tworzy prześliczny malowniczy wyłom. Brzegi wyłomu miejscami zniżają się łagodnie ku rzece, miejscami zaś spadają stromo białą pionową ścianą.

Wreszcie Kraków. Już zdaleka widać wieżę wawelską. Podjeżdżamy bliżej: przed nami wieże kościołów i zamek dawnej stolicy. A miasto, jakby przeplecione zielenią, bo tam ogrody, t. zw. planty przechodzą przez całe miasto. Powstały one na miejscu dawnych wałów, otaczających Kraków.

— A widziałaś smoczą jamę?

— Widziałam i smoczą jamę i groby królewskie, tylko Zygmunta nie słyszałam, bo on dzwoni w wielkie święta. Najbliższe okolice Krakowa są też ładniejsze, niż warszawskie. Widać to najlepiej z kopca Kościuszki, gdzie też zakończymy naszą wędrówkę.

Spójrzmy wokoło, nad urodzajną wesołą krainą wznoszą się tu i owdzie białe skały wapienne, a na nich zaś sterczą dumnie zamki warowne i klasztory...

Teraz można zrozumieć, dlaczego tam, a nie gdzieindziej pierwsi porwali się ludzie na wroga, aby wolność odzyskać. Ludzie, co świetność dawną Polski mieli przed oczyma, co wszędzie widzieli pamiątki przeszłości, pierwsi musieli o tym pomyśleć, że trzeba iść bić się za Polskę. To też dlatego szły stamtąd do Warszawy siwe szeregi strzelców, którzy wierzyli, jak to zawsze śpiewamy, że

„Gdy staną w Warszawie
Na królewskim grodzie,
To poleci do rozprawy,
Co jest sił w narodzie".

A Wisła cicho szumi w dole: przed nami znowu Mazowsze. Przyjemnie było marzyć.

*Wanda.*

□□□□□□□□

# Co harcerka wiedzieć powinna?

## PORZĄDKOWANIE IZBY.

Izby nasze, jak wogóle każde mieszkanie, wymagają częstego sprzątania, co jest zdaje się rzeczą tak prostą, że nawet mówić o tym zbyteczne, a jednak niewiele zapewne z pośród nas umie to zrobić porządnie.

Zacznijmy od szorowania podłogi. Jeżeli jest drewniana, niemalowana, myć ją należy ciepłą, ale niezbyt gorącą wodą, włożywszy w nią poprzednio kawałek sody (około $^1/_8$ funta). Jeżeli gdzie są plamy tłuste, trzeba je natrzeć na sucho szarym mydłem, lub też, gdy plama dawna, nasmarować na noc gliną, rozrobioną wodą, a nazajutrz szorować wodą z sodą jak zwykle.

Najważniejszą rzeczą w szorowaniu podłogi jest, aby myć ją małemi kawałkami, zaraz spłókiwać ścierką, w czystej wodzie zmaczaną, a następnie wycierać suchą. Tym sposobem nie zapuszcza się tak niezdrowej wilgoci w mieszkaniu.

Podłóg malowanych olejno nie szoruje się gorącą wodą, lecz tylko wyciera mokrą ścierką co parę dni. Dla nadania połysku olejnej lub froterowanej podłodze, oraz niepodnoszenia kurzu w czasie zamiatania trzeba duży kawał barchanu pokropić terpentyną i następnie owinąwszy nim szczotkę, zebrać zlekka ze wszystkich kątów kurz; potem zamiata się zwyczajnie.

Nie będę tu mówiła o zaprawianiu posadzki, gdyż jest to rzecz bardziej skomplikowana i nieużywana w naszych izbach, szczególniej teraz podczas wojny.

Kurz należy ścierać dopiero po zamiataniu i to nie prędzej niż w pół godziny, gdyż zaledwie w pół godziny dobrze opadnie. Meble rzeźbione wymagają codziennego bardzo starannego okurzania. Gdy

kurz raz osiądzie w zagłębieniach, trudno go usunąć. Oprócz ściereczki trzeba do okurzania tych mebli użyć większej szczoteczki. Ściereczki do okurzania powinny być miękkie i nieużywane do niczego innego. Używanie miotełek nie jest dobre z tego względu, że kurz się niemi nie zbiera, ale z miejsca na miejsce przenosi. Mebli krytych nie należy trzepać trzepaczką, bo kurz wydobywa się i niszczy pokrycie. Wystarczy oczyścić je miotełką (na powietrzu) i strzepać lekko ściereczką.

Podczas większego oczyszczania mieszkania, obicia papierowe trzeba obcierać lekko szczotką, owiniętą czystą ścierką; z sufitów bardzo ostrożnie tylko pajęczynę zbierać, przez wycieranie bowiem szczotką tworzą się na białym suficie brzydkie, szare smugi.

Szyby okien najlepiej czyścić kredą, smarując na mokro, a następnie wycierać bibułą na sucho. Natomiast lustra i wszelkie wykwintne szklane przedmioty czyści się spirytusem, gdyż znajdujące się w kredzie ziarenka piasku, mogą szkło zrysować.

Marmurowe części stołów lub okien szoruje się mydłem i szczotką, od czego giną wszystkie plamy.

Drzwi malowanych olejno, a naturalnie i lakierowanych nie należy nigdy szorować szczotką, bo się farba ściera lecz grubą flanelą, zimną wodą i twardym mydłem, bo szare czyli miękkie rozpuszcza farbę!

# O blizkich wycieczkach.

Odkąd u nas harcerstwo istnieje, rozpoczęły się wycieczki, których opisy mile czytamy na łamach harcerskich pisemek.

I czemże są te wycieczki?— oto ćwiczeniami, bo na nich przerabia się praktycznie to, co się teoretycznie na gawędzie omówiło.

Ale przystąpmy do rzeczy.

Czy rzeczywiście przerabia się to, co było na ostatniej lub dwu ostatnich gawędach?

Nie — wiele pozostaje do życzenia i pozostaje dlatego, że harcerze silą się na odbywanie wielkich wycieczek, t. zw. nocnych, 1-dno lub dwudniowych, a w rzeczywistości mało na nich przerabiają, jakto ze szczupłych opisów widać, bo większość czasu zajmuje im biwakowanie, gotowanie, pomimo, że wyszli w innym zupełnie celu.

Dalej, że starają się wycieczki odbywać daleko od swej miejscowości, dlatego wiele czasu zajmują im marsze.

Ażeby wyciągnąć jak największy pożytek z blizkich wycieczek, należy albo poprzedzić ćwiczenia gawędą przed wycieczką, albo gawędę odbyć na wycieczce. Przecież i w izbie harcerz może w wielu sprawnościach się ćwiczyć (jak spostrzegawczość, sygnalizacja i t. p.), a nawet i na ulicy (jak powyższe, oraz szyk ubezpieczony, marsze). A zatem nie widzę potrzeby odbywania stale dalekich wycieczek, choćby już ze względu na brak czasu u wielu harcerzy, wreszcie tuż za miastem mamy równie świeże powietrze, jak i dalej, a i młodszych harcerzy nie nużymy dalekimi marszami. Wycieczkę 3 lub 2-godzinną można odbyć nawet w ciągu tygodnia, a nie odkładać na niedzielę lub nawet jeszcze na drugą. Dla zaoszczędzenia czasu zastępowy może wyznaczyć zbiórkę na skraju miasta, a nie wyruszać z izby harcerskiej, która zazwyczaj jest w centrum miasta, i wtedy jak któremu harcerzowi wygodniej (czy choćby tramwajem) zjawi się na wskazanem miejscu. Wtedy zastępowy rozporządzając 2—czy 1½ godziną czasu, może jeszcze wyczerpująco przećwiczyć ostatnią gawędę.

Przytem powinno się pamiętać, ćwiczenia przeprowadzać według ułożonego planu, by wycieczki nie obciążać różnością ćwiczeń, jakto zwykle bywa, i by ćwiczyć tylko to, co było tematem ostatniej gawędy. A więc, jeżeli spostrzegawczość, to ćwiczyć tylko spostrzegawczość, jeżeli sygnalizacja, to tylko stygnalizować i t. p. — Dopiero w drodze powrotnej można zadawać harcerzowi pewne zadania z innego działu.

Po odbytej wycieczce, można harcerzom zadać opisanie odbytej drogi, czy też, o nią się zaraz po powrocie z miejsca wypytywać, a nawet, gdy harcerze są już zaznajomieni z mapą, żądać narysowania przebytej drogi, z uwzględnieniem stron świata i skali.

Harcerz wpierw powinien poznawać bliższą okolicę, i to szczegółowo i stopniowo rozszerzać zakres poznanych okolic, posuwając się wciąż, dalej. Gdy tę uwagę przy ćwiczeniach harcerze uwzględnią, wkrótce, mimowoli staną się ,,wskazidrogami" danej miejscowości.

Co do wycieczek dłuższych, to te można odbywać z młodszymi harcerzami wtedy, gdy już przeszli szereg ćwiczeń, i te powinny odbywać się przy udziale przynajmniej plutonu lub drużyny, pod kierunkiem starszych swoich szarż i przy zakresie większych ćwiczeń. Plan tych wycieczek powinno się do znudzenia opracować z uwzględnieniem zadania wycieczki i miejsca. Pomimo to powinno się przygotować w rezerwie wiele projektów zajęć i urozmajceń, by też przypadkiem nie wkradło się znużenie i ospałość.

Harcerze wyruszający na wycieczki, nie mówiąc o większych, ale o mniejszych, których mają o wiele więcej, powinni pamiętać o pełnieniu dobrych uczynków i o zaznajomieniu się z ludem. Dlatego to, prowadzący oddziały winni być dość sprytnymi i poddawać myśli i projekty co do pełnienia dobrych uczynków lub zaznajamiania się z ludem mniej biegłym harcerzom, by na wycieczce wszyscy jej uczestnicy brali udział w życiu harcerskiem.

Wesołość u harcerzy na wycieczce nietylko powinna kwitnąć, ale promieniować na otoczenie i okolicę.

Dlatego harcerz, spostrzegłszy w polu pastucha, powinien się z nim zapoznać, wesoło porozmawiać, słowem zaprzyjaźnić, a gdyby ten miał czas, wciągnąć go do wspólnej zabawy czy gawędy (w uważaniu zaś na trzodę lub wykonywaniu innej pracy może go zastąpić inny harcerz na tę chwilę). To samo powinni czynić przechodząc przez daną wieś, lub ćwicząc się w jej pobliżu.

Tak postępując, wkrótce mielibyśmy wielu przejętych ideami harcerskimi z pośród wiejskich chłopców, a z biegiem czasu i harcerzy. Tylko pamiętajmy na pogodę umysłu, zdrową wesołość i zbratanie się z ludem; pamiętajmy, że wielu z wiejskich chłopców nie zna wogóle liter, nie umie liczyć, a w tem, przy dobrej woli i staranności może choć w części harcerz im pomódz.

* * *

Tak prowadzone wycieczki, będą nie tylko dla samych uczestników pożyteczne, ale i będą rozpowszechniały szeroko dobre imię i harcerza polskiego i harcerstwa.

*Franek z Krakowa.*

□□□□□□□□

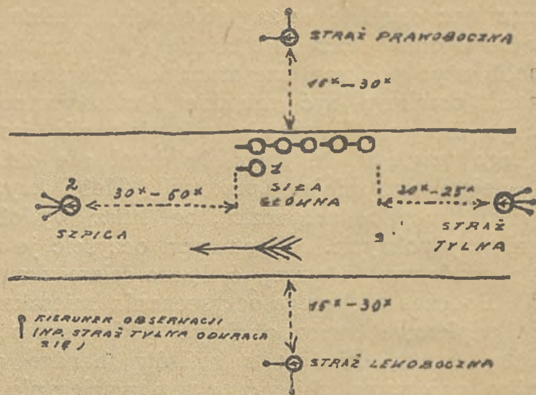
# Ubezpieczenia marszowe.

W poniższym szkicu zajmiemy się naturalnie nie ubezpieczeniami marszowemi wojskowemi, lecz harcerskiemi. Ponieważ nie posiadamy karabinów, nie jesteśmy zmuszeni na robienie dużych odstępów między np. strażą przednią a siłą główną, która w wojsku wynosi conajmniej 400 m. Dlatego więc i z różnych innych powodów ubezpieczenia nasze będą inne od wojskowych. Należy odróżnić zwykły marsz ubezpieczony od marszu wywiadowczego i od marszu odwrotnego. W każdym z tych trzech rodzajów marszów ubezpieczenia marszowe spełniają inną rolę. Rozpatrzymy je po kolei. Wogóle mają ubezpieczenia na celu ochronę spokojnego marszu danego oddziału i, zależnie od możliwego kierunku nieprzyjaciela, ubezpieczamy się z zasady z wszystkich stron. Rozróżniamy więc straże: przednią, prawo- i lewo-boczne oraz tylnią.

A) Zwykły marsz ubezpieczony (frontowy bojowy. Zupełnie tak samo jak w forpocztach wyznacza się na ubezpieczenia marszowe od $^1/_6$ do $^1/_4$ całego oddziału. Ugrupowanie zaś oddziałów ubezpieczających zależeć będzie od ich liczebności, jak się zaraz przekonamy:

I. Zastęp. Masz ludzi 10, ale musisz się ubezpieczyć z wszystkich czterech stron. Błędnie byłoby krępować się małą liczbą. Wyślesz czterech ludzi (na szpicę najlepiej przodownika) i będziesz maszerował w następujący sposób:

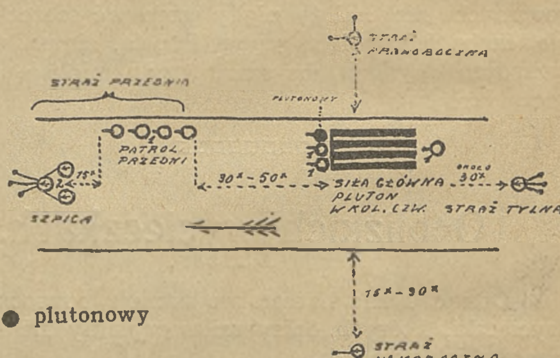
Droga




Odstępy, dystanse i kierunek obsewacji pokazuje szkic.

II. Pluton. Tutaj już ubezpieczysz się zastępem. Pamiętaj, że straż przednia musi być na tyle wysunięta przed siłą główną, aby mogła powstrzymać wroga, póki się siła główna nie rozwinie, albo, aby odrzuciła słabszego nieprzyjaciela. Plutonowy może być przy plutonie, albo też, by być lepiej zorjentowanym, przy szpicy. Szpica nie powinna być widziana: niech idzie bokiem drogi, w rowach etc.

Droga



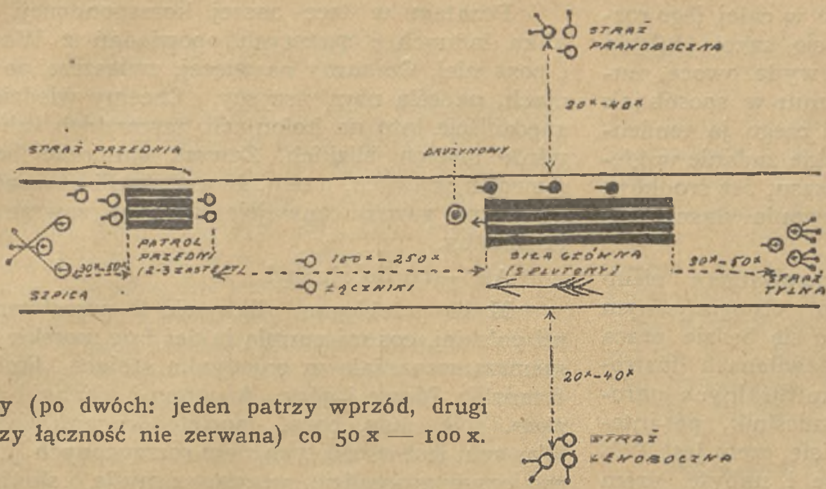

● plutonowy

Jak widzimy odległości są podobne, ale straż przednia składa się już ze szpicy i z patrolu przedniego. Straż tylnia ma też funkcje policyjne: pilnuje, aby nie było maruderów, nikomu nie pozwala zostać się i t. d. Wszelkie odległości zależą od terenu, pogody i naszego zadania.

III. Drużyna zwykle ubezpiecza się plutonem. Przypuszczalny podział ubezpieczeń pokaże ci szkic poniższy.

Dobrze jest, jeżeli straż przednia wysyła sama patrole boczne, aby się w ten sposób zabezpieczyć od możliwych niespodzianek. Naturalnie szyk, podany na szkicach, nie jest obowiązujący. Można (a czasem lepiej) maszerować dwuszeregiem, albo po obu środkach drogi, ewentualnie nawet w kolumnie plutonowej. W górach dobrze jest ustawić nieruchome boczne straże w różnych miejscach, aby, w ten sposób, zapewnić spokojne przejścia. Niezawsze teren też pozwala na posuwanie się straży bocznych tak, jak na szkicu. Pamiętaj o tym, że im

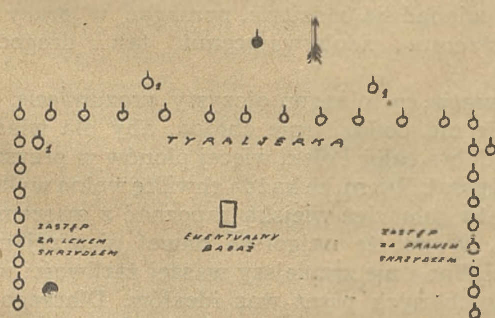
Droga




Łącznicy (po dwóch: jeden patrzy wprzód, drugi wtył, czy łączność nie zerwana) co 50 x — 100 x.

więcej zagrożone masz skrzydło, tym silniej musisz się z owej strony zabezpieczyć. Przez lasy przechodzi się całym oddziałem w tyraljerce, mając po obu bokach osłony. Jest to tak zwany sposób majora Żymirskiego.

Sposób ten chroni od oskrzydlenia (obejścia), gdyż w razie ataku oddział może się rozwinąć w dowolną stronę. Szkic pokaże Ci ten rodzaj marszu:




Jest to właśnie czworobok majora Żymirskiego.

W górzystej okolicy idzie straż przednia w ten posób, że jeżeli szpica jest na szczycie, to patrol przedni jest u podnóża i odwrotnie. W ten sposób chronimy się od możliwego zaskoczenia.

IV. Hufiec ubezpiecza się podobnie jak drużyna, tylko naturalnie odpowiednio do swej liczebności na ubezpieczenia posyła 2 — 3 plutony, albo całą drużynę.

B) Marsz wywiadowczy. Tutaj odległość straży przedniej od siły głównej może być zmniejszona: oddział, idący na wywiad, jest gotów w każdej chwili na spotkanie nieprzyjaciela i wobec tego prędzej może się rozwinąć. Zastępowy (plutonowy, drużynowy) powinien pilnie uważać aby chłopcy nie rozmawiali, nie jedli i t. d. i byli gotowi na każde skinienie. Muszą oni wiedzieć w ogólnym zarysie cel marszu, zadanie wywiadu, sposób zachowania się i t. d. i t. d. Szczegółowe rozpatrzenie wywiadów wychodzi po za ramy tematu.

C) Marsz odwrotny. W marszu tym spełnia rolę straży przedniej w marszu frontowym straż tylnia i jest odpowiednio silna (tył i patrol tylni). Musi być blizko siły głównej, gdyż sama przez się będzie się oddalać, jeśli się zatrzyma dla odparcia ścigającego nas nieprzyjaciela. Straż przednia, 1 — 3 ludzi nawet przy drużynie, ma tylko na celu usuwanie ewentualnych przeszkód marszowych. Straże boczne bez zmiany.

Bardzo pożyteczne jest, by do straży przedniej (a w marszu odwrotowym do tylniej) dodawano jednego lub paru rowerzystów dla szybszego doręczania meldunków. W wojsku robią to specjalni ordynansi konni.

Rzecz prosta, że komendant straży przedniej musi mieć mapę (kompas) i być doskonale zorjentowany oraz poinformowany co do celu i kierunku marszu. *A. F.*

□□□□□□□□

# Nadesłane.

Poniżej zamieszczamy odezwę, przesłaną nam w sprawie „Parku Narodowego" przez inicjatota, p. pr. W. Kuropatwińskiego, gdyż istotnie zasługuje ta myśl na poparcie ze strony harcerzy.

## MIERZ SIŁY NA ZAMIARY, NIE ZAMIAR PODŁUG SIŁ!

Niezapomniany wieszcz nasz Adam w olśniewających przebłyskach genjusza swego dał nam szereg wskazań życiowych, jakiemi się mamy kierować przy zdobywaniu lepszej przyszłości. Do takich wskazówek metodycznych należy przytoczona w tytule maksyma, którą się i nasza młodzież winna kierować. W myśl tej zasady niżej podpisany rozpoczął dzieło, o niesłychanej w jego przekonaniu doniosłości kulturalnej.

Chodzi o uświadomienie szerokiego ogółu o naszym stanie posiadania. Jakiś to bowiem jest bardziej kardynalny warunek siły narodu nad jego własną świadomość? W wielomilionowej masie narodu, ta tylko jednostka jest cząstką siły czynnej, która zdaje sobie sprawę z tego, co nas otacza, co do nas należy, która wie, jaką była nasza przeszłość, która rozumie, jak daleko i jak głęboko sięga sfera naszego wpływu.

Pracę wychowania narodowego w całej jego rozciągłości podejmuje odradzająca się szkoła polska. Ale zanim ta praca nad młodzieżą wyda owoce, musimy szerokiej masie dorosłego tłumu w sposób jak najbardziej poglądowy dać to, od czego ją tendencyjnie odsuwała obca władza. Takie zadanie względem tej masy, która nie ma ani czasu, ani środków, ani może nawet ochoty do poznawania własnej ziemi, spełni „Park Narodowy".

Park Narodowy będzie zobrazowaniem ziemi polskiej pod względem fizycznym, etnograficznym i historycznym. W P. N. skupiać się będzie praca kulturalna nad ludem, w jego pawilonach ilustrować się będzie stan dzisiejszy sił kulturalnych narodu, w P. N. robotnik, chłop, rzemieślnik, pół-inteligent—typ najpospolitszy—dowie się, czem jest Polska, jakie są jej siły przyrodzone i nabyte, czem była i jakie są jej dążenia.

Ale żeby idea „Parku Narodowego" mogła się zrealizować, należy ją spopularyzować, należy przekonać czynniki miarodajne, że jej realizacja jest potrzebna i że jest możliwa. W tym celu wzywam Młodzież Harcerską do pracy nad wykonaniem modelu „Parku Narodowego" w skali 1 : 15. Model ten urządzony będzie na placu ks. Czetwertyńskiej przy ul. Kopernika. Roboty już się rozpoczęły. Podczas lata pracować będą chłopcy od lat 12 po 2—3 godziny dziennie lub co drugi dzień. Zapisy do robót przyjmują się przy ul. Nowogrodzkiej 42 m. 15 godz. 3—4 po południu.

*Walerjan Kuropatwiński.*

□□□□□□□□

# TO i OWO.

Jedna z druhen pod adresem redaktora przesłała projekt urządzenia konkursu na napisanie krótkich życiorysów patronów drużyn, aby życiorysy te później wydać i udostępnić dla wszystkich harcerzy. Dawno już myślimy o dziale historycznym w piśmie, ale wiosna i sprawa kolonji poszła na plan pierwszy. Do tego projektu powróc my na jesieni, teraz dzięki — za samą rzuconą myśl!

Co do konkursu na zawody harcerskie, Druh Redaktor otrzymał już prac kilka i rezultaty konkursu podane zostaną również w jednym z numerów jesiennych.

Uwagę na mylnie podany ostatni termin, jako 1 czerwca, zwrócił nam druh „Seweryn-Teofil". Za list z prawdziwym humorem napisany bardzo dziękujemy. Wrażeń większych zawsze pożądamy, czego szukacie w piśmie, a co Was najwięcej interesowało, wszystko to dla nas nad wyraz cenne.

Pozatem w tece naszej korespondencji mamy kilka ładnych i szczerych opowiadań z Warszawy i poza niej. Czekamy na więcej, zwłaszcza po wakacjach, nadeślą nam wszyscy. Chcemy wiedzieć, jak spędziliście lato na kolonjach harcerskich lub gdzieś wśród swoich blizkich. Zawsze pamiętać będziecie o swoich prawach, o tem, że ani chwili spocząć Wam nie wolno, zawsze czuwajcie nad sobą, zawsze gotowi do służby.

Ale — co do służby!

Myślą przebiegam olbrzymie te przestrzenie ziemi polskiej, coś mi szumią jakieś fale morskie i cicho szemrzą wspaniałe w pojedynkę stojące limby Tatrzańskie. Morze i góry. A potem i piachy i czarnoziem, pola, lasy, bory... pocięte drogami i dróżkami. Was tylu jest wśród tych ziem rozrzuconych, pojedyńczo czy w gromadzie wszyscy z myślą o służbie...

Dla Ojczyzny! Czuwajcie!

Co wy tam będziecie robili? Wypleniać będziecie drobne wasze usterki, ćwiczyć się w harcach, hartować w obozach i wycieczkach; radować się we wspólnem braterstwie życia kolonijnego... Tworzyć wasz stalowy charakter, nieugięty, silny, co dokona wiele w przyszłem życiu.

A natura, a lud?

Przyglądać się będziecie, pomagać w pracy chłopu polskiemu, zdobywającemu tak drogocenny chleb...

Poznacie, co to zagon ojczysty, zrozumiecie, jakie znaczenie ma podniesienie chłopa, aby dla własnego zysku i dobra całej Polski więcej plonów w przyszłości z ziemi zebrał. Wiem, że każdą chwilkę wolną wykorzystacie, aby młodzież wiejską zapoznać z waszemi dążeniami. Wiem, że najgorsza nawet nieprzyjemność nie zrazi Was i nie zmniejszy waszej żarliwości w szerzeniu kochanych przez was ideałów. Dlaczego? Bo przecież nie o drobnostkę chodzi, nie o wasze chwilowe niemiłe wrażenie, ale o przyszłych dzielnych braci, co staną przy warsztace kuć w pocie czoła z wiarą niezłomną nowe życie!

A będziecie pewnie wśród ruin, które zostawiła szaruga wojenna, pytajcie się o wrażenia, jakie zachował w pamięci lud...

Dziwne a ciekawe czasem pojęcia powstają u ludu o dzisiejszej wojnie. Jak ją sobie tłomaczą, skąd się wzięła? Naiwne te sądy, ale charakteryzujące chłopa polskiego. A jako harcerze, głoście wszędzie waszą niezłomną wiarę, że Polska przyjdzie, musi zabłysnąć, bo my wszyscy tego pragniemy, bo wszyscy gotowimy się, aby ją tworzyć.

*Józwa.*

□□□□□□□□

## Z ŻYCIA HARCEREK.

Wielka radość w naszem gronie! Wyobraź sobie braci harcerska, że harcerki żyją... To nie sen, tylko prawda, najoczywistsza prawda! Na 3-go maja redakcja ,,Od życia'' uszom swym i oczom wierzyć nie chciała. Więc jednak harcerki żyją, choć w tajemnicy przed nami? Redakcja sama z natury szczera i otwarta, nie lubi sekretów. Ale jesteśmy wytrwałe: nie chcecie pisać, dowiemy się same; już nawet coś widzimy! Nietrudno to nam przyszło zresztą: w szkole, na pauzach i na lekcjach, w izbach harcerskich, w domu, na ulicy wreszcie, słychać wciąż jeden wyraz odmieniany przez wszystkie przypadki: ,,kolonje''. Zamiast zwykłem ,,Czuwaj'' witamy się: ,,Jedziesz na kolonje?'' Odpowiedź twierdząca wywołuje wielką radość i parogodzinną ożywioną rozmowę na temat naturalnie kolonji. Wykrzykników oburzenia po odpowiedzi przeczącej lepiej nie przytaczać.

Zaszedł nawet wypadek, że harcerka przy odpowiedzi z literatury, zamiast ,,komedje Fredry'', mówiła ,,kolonje Fredry'', co wywołało zdziwienie na katedrze i powątpiewanie o przytomności uczenicy.

A zwykli śmiertelnicy dziwią się, że harcerki na wiosnę, zamiast oddać się słodkim marzeniom o bzach, konwaljach i słowikach, cieszą się z tego, że będą same gotować obiad. Dziwne upodobanie...

W drużynach ruch niezwykły. Ku rozpaczy wszystkich domowników, dzwonki nie milkną. Jadzie, Zosie, Stasie przychodzą dopytywać się o szczegóły kolonji. ,,Druhno, a czy obiad będzie o 12-ej, czy o 1-ej?'' ,,Druhno, czy będziemy spać na słomie czy na sianie?'' ,,A czy na śniadanie będzie kawa, czy mleko?'' i t. d. i t. d.

Drużynowe ochrypły, zaniemówiły i cały ciężar informacji złożyły na zastępowe. A biedne zastępowe kują się do egzaminów i mając głowy zapchane wzorami wszystkich możliwych nauk, same nic nie wiedzą, co mówią. I tak, gdy się zapytano jednej zastępowej, jaka jest droga od stacji do obozu, nie mogąc sobie zdać sprawy o co chodzi, chciała obliczać drogę $S = \frac{at^2}{2}$

I podołaj tu człowiecze wszystkim obowiązkom!!! A na dobitkę redakcja ,,od życia'' jest na tyle nieszczęśliwa, że ma egzamina, przygotowuje się na kolonje i zamiast odsyłać do redaktora gotowe już sprawozdania z pracy harcerek, musi myśleć, a każdy przyzna, że to najcięższa rzecz.

Zwracamy się więc do was, harcerki, abyście na kolonjach myślały o tym, że są dziewczyny, coby chciały o tym życiu obozowem usłyszeć coś niecoś. Pomyślcie, że od was powinni się ludzie dowiedzieć, czem dla nas są kolonje i jaką z nich mamy korzyść. Pamiętajcie więc na kolonjach o ,,Harcerzu'', piszcie kroniki i używajcie jak najwięcej.

,,*Redakcja od życia harcerek*''.

---

# Wizyta ks. Komendanta w Płocku.

Osoba ks. Mauersbergera, Komendanta drużyn harcerskich w Królestwie, była dla nas czemś znanem tylko z opowiadań druhen lub druhów, a że opowiadania te pełne były zachwytów, uwielbienia i sympatji dla Niego, pragnęłyśmy oddawna ujrzeć zwierzchnika naszej organizacji. Łatwo więc wyobrazić sobie ruch i ożywienie i radość, jakie zapanowały między nami, kiedy dowiedziałyśmy się, że ks. Komendant przyjedzie do płockich drużyn harcerskich na przegląd.

Do Płocka ks. Komendant miał przyjechać 28 kwietnia po południu.

Powiadomione o tym cześniej, zorganizowałyśmy pluton honorowy z 3-ch drużyn harcerek i wyszłyśmy do statku, a izbę przedtem czemprędzej kazałyśmy wyprzątnąć, aby się księdzu podobać mogła.

Podniecone zeszłyśmy nad Wisłę. Statku jeszcze widać nie było, informowałyśmy się więc o sposób zdawania raportów od obecnych komendantów drużyn męskich, które także wraz z plutonem honorowym oczekiwały gości z Warszawy.

Wreszcie zdaleka ujrzeliśmy nadjeżdżający statek. Zaczęły się wróżby przyjedzie, nie przyjedzie, głosy powątpiewania, czy aby dobrze będziemy wyglądały, czy dobrze się przedstawimy i t. p. Statek już blizko, więc ustawiamy się w dwurząd i z biciem serca oczekujemy. Wreszcie ujrzeliśmy postać ks. Komendanta a przy nim i druha Olewińskiego, szefa G. K. Zaczęła się trema.

Ks. Komendant szybko schodzi ze statku.

Przyglądamy się ciekawie. Jest to postać wysoka, zamaszysta, o twarzy nad wyraz sympatycznej z uśmiechem, który odrazu mówi, że to przyjaciel młodzieży.

Stanął przed nami, słów kilka przemówił i odrazu ,,wziął nas'', jesteśmy zachwyceni.

Wtem d-h Olewiński Szef Gł. Kw. odezwał się: ,,Raport'' i trzeba było skupić uwagę w innym kierunku.

Po zdaniu raportu otrzymałyśmy rozkaz odprowadzenia ks. Komendanta. Idziemy więc przez miasto kolumną czwórkową, oba plutony honorowe: żeński i męski.

Na godz. 3-ą naznaczona zbiórka szarż drużyn żeńskich i odprawa komendantów drużyn. Zdajemy raporty z naszej skromnej pracy, otrzymujemy serdeczne słowa zachęty na ciąg dalszy prowadzenia drużyn. Z ks. Komendantem rozmawiamy swobodnie, wesoło, otwarcie, jak z prawdziwym ,,druhem''.

I robimy uwagę, że w bliższem swem otoczeniu ks. Komendant napewno wszystkimi młodymi serduszkami komenderuje. Zbiórka skończona.

O 5-ej godz. pogawędka księdza Kmdta znowu ze wszystkimi harcerkami i harcerzami, sprawozda-

nie ze zjazdu i t. d. Następnie odczyt ,,O zasadach harcerstwa''.

Po odczycie nastąpiła zbiórka rodziców, opiekunów i nauczycieli, wychowawców, na której ks. Kmdt zwracał się do tych wszystkich, którzy styczność mają z młodzieżą, aby zechcieli zbliżyć się z nią więcej, rozumieć i serdecznie nią kierować nie nakazem, a przyjaźnią, bo tym sposobem najłatwiej do młodzieży trafić można. Na zakończenie tego posiedzenia obrany został Patronat z osób obecnych na odczycie, mający na celu kontrolowanie i kierowanie przyjacielskie młodzieży harcerskiej.

Poczem otrzymaliśmy program dnia następnego.

Była to niedziela. Kwadrans przed godz. 9-tą wyruszamy czwórkami z pensji z naszym sztandarem do kościoła. Ks. Komendant odprawia Mszę świętą, a my modlimy się serdecznie, aby Pan Bóg dopomógł nam do wypełnienia tego, do czego w uroczystem dziś przyrzeczeniu zobowiązać się mamy.

Po Mszy św. ksiądz Komendant wchodzi na ambonę i w słowach prostych, krótkich i serdecznych przedstawia nam, młodzieży harcerskiej, nasze zadanie wobec społeczeństwa: odpowiedzialność, jaką nosimy na sobie i godność, z jaką winniśmy służyć naszej wspólnej sprawie.

Następuje chwila uroczysta dla nas — poświęcenie sztandaru. Podczas modlitwy ks. Komendanta nagle rozlegają się dźwięki dzwonów katedralnych nam się wydaje, że dzwony te roznoszą po świecie, wieść, że pod sztandarem służby Bogu i Ojczyźnie stanęła nasza gromadka; jesteśmy uniesione duchem, w świat ideałów, w świat miłości, młodości i zapału,— czujemy się hacerkami, czujemy się Polkami, pragniemy całą siłą i pewność żywimy, że odpowiemy naszemu zadaniu!!

Po tej uroczystości żeńskie drużyny nasze, udały się na podwórze I-go Gimnazjum żeńskiego Udziałowego, gdzie miał się odbyć przegląd, przyrzenie i rozdanie krzyży.

Następuje przegląd. Zdajemy raporty. Potem uroczysta chwila przyrzeczenia. W krótkich słowach ks. Komendant objaśnia nam doniosłość chwili. Wreszcie ustawiamy się w rząd naprzeciw ks. Komendanta i pod powiewającemi nad nami sztandarami zaczyna się rota przyrzeczenia. Ks. Komendant głosem poważnym, uroczystym, wzruszonym, mówi: ,,Mam szczerą wolę całem życiem pełnić służbę Bogu i Oj-, czyźnie i t. d.'' I my powtarzamy te słowa skupione, ważąc każdy wyraz. Wreszcie rozbrzmiewa: ,,Tak nam dopomóż Bóg'' i oto stajemy się młodemi członkami wielkiego Związku Harcerstwa polskiego. Na znak tego ks. Komendant każdej z nas podaje rękę i wita ją, jako nową duszę, dążącą ku tym samym, co on celom. Następuje rozdanie krzyży. Kończy się chwila uroczysta.

Nie mamy jednak czasu na rozmyślania, otrzymujemy rozkaz udania się do I-go Gimnazjum męskiego, aby tam wziąć udział w ogólnym przeglądzie drużyn.

Słuchamy zdawania raportów, trochę mustry, przyrzeczenia harcerzy, wreszcie następuje odczytanie rozkazu dziennego.

Zostajemy mianowane drużynowemi, komenda zatwierdzona. Prócz tego komendantka IIIB Okr. i komendant IIIA Okr. otrzymują publiczną pochwałę za sumienną pracę harcerską.

Jesteśmy wszystkie pełne dumy.

Następuje wspólna fotografja. Ks. Komendant z humorem wszystko traktuje, dowcipkuje, śmieje się, nas w dobry humor wprowadza pomimo zimna i deszczu. Ale że charcerz jest wesoły, więc śmiejemy się, dokazujemy, dla rozgrzania biegając drużynami w miejscu.

Na zakończenie defilada przed Ks. Komendantem.

O godz. 3-ej z wielkim żalem pożegnałyśmy tak miłego naszego zwierzchnika, wzdychając głęboko, obyśmy mogły mieć takich zwierzchników jak najwięcej! *J. K.*

## ZLOT DRUŻYN WARSZAWSKICH W DNIU 3 MAJA.

Dzień 3 maja, tę najjaśniejszą z naszych rocznic narodowych obchodziliśmy w tym roku w Warszawie zlotem. Trudno było o lepszy pomysł. W tym dniu po raz pierwszy zebrało się całe harcerstwo warszawskie, poraz pierwszy zobaczyliśmy, ile to nas właściwie jest i tak, jak nigdy, poczuliśmy jedność i siłę naszej organizacji. Zebraliśmy się wszyscy przy końcu Nowowiejskiej i stamtąd przemaszerowaliśmy do Agrykoli. Przykro nam było, żeśmy się spóźnili, bo drużyny przychodziły za późno na punkt zborny i długo trwało ustawianie. Zato, potem poszło wszystko dobrze. Stanęliśmy drużynami na placu, frontem do trybuny.



Rozkaz dzienny N. K. czyta dr. St. Rudnicki.

Przed trybuną oba plutony honorowe ze sztandarem.

W loży obok członków K. N. Komendant, br. Piłsudzki, ks. Lubomirski, ks. Radziwiłł i inni.

Cieszyliśmy się, że wiele osób z publiczności, które w zeszłym roku były na uroczystościach harcerskich, już teraz naprawdę przyznać nam musiało prawo obywatelstwa, jako organizacji wychowawczej, a nie traktowało nas jako próbę nowego sportu. Słowem poczuliśmy się naprawdę wśród swoich, nie tak jak dawniej, gdy na harcerza patrzano jak na raroga, nie bardzo nawet wiedząc, kim jest.

To też, gdy ustawiono przed trybuną dwurząd zaczął powtarzać rotę przyrzeczenia, a mocno i z wiarą wypowiadane słowa dolatywały do najdalej stojących drużyn, poczuliśmy, jak te hasła, wiążące nas wszystkich, spajały nas i z tymi, co stali na trybunie, i z całą zgromadzoną publicznością.

Chyba nie było nikogo, ktoby nie odczuł razem z nami naszego przyrzeczenia.

Mniej może silne wrażenie wywarło naogół rozdanie przed przyrzeczeniem odznaczeń, chwilami przewijało się przez myśl, że może w służbie harcerskiej za nic nie powinno być odznak, ale swoją drogą wzrastała w nas duma, że mamy wśród siebie wyróżnionych za uratowanie życia i za nieskazitelną służbę.

Niektórzy nie wiedzieli, że dostaną odznaczenia, więc, gdy odczytano nazwiska w niektórych drużynach, rozległy się głosy: „to ja mam iść?" Rozstępowały się szeregi przed idącymi do trybuny.

Stanęli wówczas przyszli pracownicy przed tymi, co dla nich grunt do tej pracy przygotowują.

Patrzyli na nich wszyscy z niemem pytaniem, a myśmy wiedzieli, że nasi patrzą tamtym jasno i szczerze w oczy i za siebie i za wszystkich składają przyrzeczenie.

Gdy wrócili do swoich drużyn i stanęli na swoich miejscach patrzyliśmy na nich z dumą i z podziwem.

Wkrótce po przyrzeczeniu zaczęły się ćwiczenia. Trudno było ogarnąć okiem wszystko, co się na placu działo: ratownictwo, ćwiczenia strażackie, malownicze gry i obóz z prawdziwą kuchnią i prawdziwymi plackami kartoflanymi, zamiast tradycyjnej kaszy.

Skarżyli się ludzie, że nie mogli wszystkiego zobaczyć, bo ćwiczenia odbywały się jednocześnie na całym placu i zmieniały się ciągle.

Co prawda, to i brać harcerska, jak tylko zobaczyła coś ciekawego, zbiegała się zaraz i ciągle trzeba było przypominać, żeby nie zasłaniali.

Wesoło było nadzwyczajnie. Członkowie N. K., Patronatu i niektóre z zaproszonych osób przechodziły kolejno od jednej grupy ćwiczącej do drugiej, kosztując gotowanych na kuchniach polowych potraw i śmiejąc się z nieszczęśliwych obandażowanych obiar ratownictwa. Jeden taki nieszczęśliwy biszkopt niesiony na noszach, dzielnie udawał zemdlonego i, dopiero przed trybuną ocucił się, wstał i, ukłoniwszy się pięknie, zaprosił wszystkich do obozu, a później odniesiono go zemdlonego z powrotem. Niestety, we wszystkich obozach było zamało jedzenia na apetyty harcerskie, gdyż częstowano tylko co znakomitszych gości.

Niemniej jednak harcerze odbywali wartę honorową przy kuchniach, a znany i ceniony autor wielu prac z dziedziny terenoznawstwa, a zarazem wielbiciel placków kartoflanych, omal nie uwędził się w dymie. Jedna z drużyn ratowniczych podobno uratowała prawdziwego zemdlonego (ktoś złośliwy powiedział, że zemdlenie było udane, ale to nie zmienia postaci rzeczy, gdyż ocucono chorego według wszelkich prawideł).

Po ukończonych ćwiczeniach, które trzeba było skrócić ze względu na brak czasu, ku wielkiemu żalowi tych drużyn, które ćwiczyć się nie zdążyły, przemaszerowaliśmy wokoło placu i wyszliśmy z Agrykoli, kierując się Alejami i Nowym Światem do Krak. Przedm. i Placu Teatralnego, skąd drużyny rozeszły się do domów.

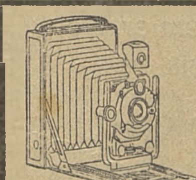
Cała uroczystość zostawiła jasne, nie zmącone niczem radosne wrażenie. *W.*

## POWOŁANI DO SŁUŻBY WYŻSZEJ.

O

Zmarły 23 kwietnia r. b. ś. p. St. Bakuń, szeregowiec IX Dr. im. Sowińskiego był nie jedynym a pierwszym w tej drużynie szeregowcem, który zdobył krzyż stopnia II.





**Na wycieczkach każdy może fotografować!**

Małe wygodne aparaty, nie obciążające podróży, dające doskonałe zdjęcie od Mk. 10.—

:: Warszawski Skład Fotograficzny ::

**ERNEST NEUMANN**

Warszawa, Mazowiecka 6.

**„SZTUKA LUDOWA"**

**Ś-to Krzyska 26 (Mazowiecka 1).**

Przedmioty zdobnictwa ludowej roboty, typowe
::: lalki, wstążki, hafty itp. ::

## Wydawnictwa Gebethnera i Wolffa

| | |
|---|---|
| **Clère J.** *Podręcznik zapaśnictwa* (walka franc.) przekład R. Walczaka z III rys. | Mk. f. 1.50 |
| **Hancock W.** *Fizyczne wychowanie w Japonii Dżiu-dżitsu.* Przełożył J. Modzelewski z 19 rys. | 1.— |
| *Hygiena sportu.* | 2.50 |
| **Laskowski K.** *Dziesięć sportów dla młodzieży.* Z 93 ilustr. 3.75 Kart. | 4.50 |
| **Małkowski A.** *Jak skauci pracują?* | 2.— |
| *Modlitwy za Ojczyznę* zebrane przez H. M. | —.90 |
| opr. | 2.— |
| na welinie 2.— opr. | 3.15 |
| **Müller J. P.** *Mój system. 15 minut dziennie dla zdrowia.* Z 44 ryc. Wyd. 6-te. Kart. | 1.50 |
| **Powell Baden R.** *Skauting dla młodzieży,* tłom. z ang. pod redakcyą Br. Bouffała. | 3.— |
| **Zawada J. Ks.** *Czuj duch. 16 gawęd obozowych o idei skautingu.* | 2.50 |
| — *Jak prowadzić pracę skautową?* Wskazówki dla instruktorów skautowych oraz program pracy skautowej. Zastosowane do potrzeb młodzieży szkolnej. | 2.50 |
| Biblioteka Uniw. ludowych: | |
| № 177. **Czartoryski M. K.** *Katechizm rycerski* z przedmową H. Mościckiego. | —.40 |
| № 178. *Ustawa Rządowa z 3 Maja 1791 r.* | —.25 |
| № 179. *Katechizm narodowy z r. 1791* wydał Mościcki. | —.30 |
| № 180. **Reymont W. S.** *Z ziemi chełmskiej wrażenia i notatki.* | —.65 |
| № 181. **Prus B.** *Omyłka.* | —.65 |
| № 182. **Szujski J.** *Cecora i Chocim* | —.25 |
| № 183. **Prus B.** *Grzechy dzieciństwa.* | |
| *Kalendarz skauta na r. 1917.* Wyd. I opracował Ster. Wydanie urzędowe Związku Harcerstwa Polskiego. | 1.50 |

**PIERWSZE ŹRÓDŁO**

**Menażki, noże skautowe,** koziki, łyżki, jajka i łyżeczki do zaparzania herbaty, kociołki i t. p.

**Kupujcie najtaniej u JÓZEFA DOMAŃSKIEGO Ś-to Krzyska 18.**

STOW•SPÓŁDZ• NASZ SKLEP WARSZAWIE

Hurtowy Skład Papieru i Materjałów Piśmiennych Stowarzyszenia Spółdzielczego

„Nasz Sklep"

w Warszawie, ul. Sienna № 13 (róg Marszałkowskiej).

Fabryka kajetów i materjały szkolne.

Roboty drukarskie.

ALFONS MANN

MAZOWIECKA 20.

Poleca: narzędzia chirurgiczne
noże skautowe
latarki i baterje elektryczne.

**S. HISZPAŃSKI** -- SZEWC -- MĘSKI I DAMSKI

**Warszawa—Krak. Przedm. 7.** Istnieje od 1838 roku.

POLECA OBUWIE WYKWINTE A TRWAŁE.

Najtańsze źródło MUNDURÓW HARCERSKICH

**L. DZIURDA, Wspólna 38.**

Obstalunki przyjmuje Komisja Dostaw.

FOTOGRAF MARJAN FUKS

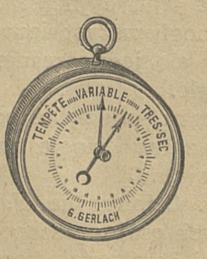
**WARSZAWA, JEROZOLIMSKA 49.**

SPECJALNOŚĆ: Grupy, portrety i zdjęcia sportowe.

G. GERLACH

**WARSZAWA, CZYSTA 4.**

**MAGAZYN OPTYCZNO-TECHNICZNY**




**Poleca dla wycieczek:**

LORNETKI i LUNETY, KOMPASY, BAROMETRY, TERMOMETRY, POCHEWKI DO MAP, LUPY, LATARKI ELEKTRYCZNE, KROKOMIERZE etc. etc.




Redaktor i wydawca: Konrad Chmielewski. Sekretarz redakcji: Józef Hełczyński.

Druk Piotra Laskauera. Warszawa, Marjensztad 8. Za pozwoleniem Cenzury Niemieckiej 22/VI 1917 r.